

Poul Anderson

Psychodrama

Tłumaczył: Wiktor Bukato



Rozdział 1

Jeśli chcemy zrozumieć, co się wydarzyło - co jest istotne, jeśli mamy uniknąć następnych, jeszcze gorszych tragedii w przyszłości - musimy zacząć od odrzucenia wszelkich oskarżeń. Nikt nie zaniedbał swych obowiązków; żadne działanie nie było bezsensowne. Kto mógł bowiem przewidzieć ostateczny wynik lub jego naturę, nim było za późno? Powinniśmy raczej wyrazić uznanie dla ducha, z jakim ci ludzie walczyli z nieszczęściem, najpierw we wnętrzu siebie, a potem na zewnątrz, gdy mieli już pewność. Jest faktem, że istnieją progi rzeczywistości, oraz że to, co się znajduje za takim progiem, jest całkowicie odmienne od tego, co jest przed nim. Chronos pokonał daleko więcej niż otchłań Kosmosu: pokonał również próg ludzkiego doświadczenia.

*Francis L. Minamoto, Śmierć pod Saturnem:
Odmienny pogląd (Pisma Uniwersytetu Apollo,
Leyburg, Luna, 2057)*

- Lodowe Miasto znajduje się obecnie na horyzoncie - mówi Kendrick. Wieże miasta świecą niebieskim blaskiem. - Mój gryf rozpościera skrzydła do lotu. - Wiatr ze świstem przelatuje między wielkimi, tęczowymi płatami. Peleryna Kendricka splywa z jego ramion: powietrze kąsa przez pierścienie kolczugi i otacza go chłodem. - Pochylam się i rozglądam za tobą. - Włócznia w lewej ręce stanowi przeciwwagę; jej ostrze połyskuje blade księżycowym blaskiem, który Kowal Wayland zaklął w stali.

- Tak, widzę gryfa - mówi doń Ricia. - Wysoko i daleko, niczym kometę ponad murami otaczającymi podwórzec. Wybiegam spod portyku, by lepiej widzieć. Strażnik próbuje mnie zatrzymać, chwytając za rękaw, ale rozdieram delikatny jak pajęczyna jedwab i pędzę na otwartą przestrzeń. - Zamek elfów kołysze się, jakby rzeźbiony lód przemieniał się w dym. Ricia woła żarliwie: - Czy to istotnie ty, ukochany?

- Zatrzymaj się! - ostrzega Alvarlan ze swej tajemnej jaskini oddalonej o dziesięć tysięcy mil. - Się ci myślą wieść, że jeśli Król poweźmie podejrzenia, iż oto nadlatuje pan Kendrick z Wysp, wyśle przeciwko niemu smoka albo przeniesie cię zaklęciem tam, skąd nie uda mi się cię uratować. Wracaj, księżniczko Maranoa. Udawaj, że uznałaś, iż to tylko orzeł nadlatuje. Rzucę czar prawdomówności na twoje słowa.

- Unoszę się wysoko - mówi Kendrick. - Jeżeli Król Elfów nie użyje szklanej kuli, nie pozna, że na grzbiecie tego zwierzęcia siedzi jeździec. Stąd będę obserwował miasto i zamek. - A potem? Tego nie wie. Wie jedynie, że musi ją uwolnić lub zginać w tej wyprawie. Jak długo jeszcze to będzie trwało, ile jeszcze nocy księżniczka spędzi w objęciach Króla?

- Zdaje się, że mieliście szukać lapetusa - przerwał Mark Danzig.

Jego suchy ton poderwał trójkę pozostałych. Jean Broberg zaczerwieniła się z zakłopotania, Colin Scobie z irytacji, Luis Garcilaso wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odwrócił wzrok ku konsoli pilota, przy której siedział przypięty

pasami. Przez chwilę kabinę wypełniała cisza, cienie i promieniowanie płynące z Wszechświata.

Aby nie zakłócać obserwacji, wszystkie światła wyłączono z wyjątkiem kilku słabych światełek na aparaturze. Iluminatory od strony Słońca zasłonięte. W pozostałych tłoczyły się gwiazdy, tak liczne i jasne, że nieomal przesłaniały ciemność, w której tkwiły. Droga Mleczna była rzeką światła. Jeden z iluminatorów pokazywał Saturna w drugiej kwadrze, jego oświetloną bladą złotą część, opasaną bogatymi klejnotami pierścieni, a stroną nocną słabiutko odbijającą od obłoków światło gwiazd i księżyca. Saturn był mniej więcej tej samej wielkości, co Ziemia obserwowana z Księżyca.

Z przodu był Iapetus. Okrążając go, statek wirował jednocześnie, by zachować stałe pole widzenia. Przeleciał linię świtu i po chwili znalazł się nad półkulą zwróconą ku Saturnowi. Pozostawił więc za sobą jałową, zrytą kraterami ziemię, a teraz miał w dole oświetlony Słońcem lądolód. Biel oślepiła, migotała iskrami i barwnymi strzępkami, strzelała w niebo fantastycznymi kształtami - cyrki, szczeliny, pieczary obramowane błękitem.

- Przepraszam - szepnęła Jean Broberg. - To zbyt piękne, niewiarygodnie piękne i... prawie zupełnie podobne do tego miejsca, w które przeniosła nas nasza gra... przez zaskoczenie...

- Hm! - mruknął Mark Danzig. - Dobrze wiedzieliście, czego tu się spodziewać, i dlatego sami sprawiliście, że gra przeniosła was w kierunku czegoś, co by te widoki przypominało. Nie starajcie się zaprzeczać; od ośmiu lat obserwuję te zagrywki.

Colin Scobie zachnął się gwałtownie. Obroty statku i jego przyciąganie były zbyt niewielkie, aby dać zauważalny ciężar, toteż gwałtowny ruch sprawił, że Scobie przeleciał w powietrzu przez kabinę i zatrzymał się dopiero na klamrze w pobliżu chemika.

- Czyli według ciebie Jean kłamie! - warknął.

Najczęściej Scobie zachowywał rubaszną pogodę ducha, toteż teraz nagle wydał się groźny. Był to wielki, trzydziestoparoletni mężczyzna o włosach barwy piasku; kombinezon nie skrywał jego mięśni, a mars na twarzy jeszcze pogłębiał jej surowy wygląd.

- Proszę was! - wykrzyknęła Broberg. - Nie kłóć się, Colin.

Geolog obejrzał się na nią. Jean Broberg była szczupłą kobietą o delikatnych rysach. Przy jej czterdziestu dwu latach, mimo kuracji odmładzającej, czerwono-brązowe włosy opadające na ramiona tu i ówdzie połyskiwały bielą, a wokół wielkich szarych oczu pojawiły się zmarszczki.

- Mark ma rację - westchnęła. - Jesteśmy tu w celach naukowych, a nie po to, by śnić na jawie. - Wysunęła dłoń, by dotknąć ramienia Scobiego. Uśmiechnęła się z zawstydzeniem. - Wciąż czujesz w sobie osobowość Kendricka, prawda? Szlachetnego, opiekuńczego... - Zamilkła. W głosie pojawiły się tony takie same, jak u Ricii. Zakryła usta i znowu poczerwieniała. Od powieki oderwała się łza i odleciała połyskując, unoszona prądem powietrza.

Zmusiła się do śmiechu. - Ale ja jestem jedynie fizykiem o nazwisku Broberg, mój mąż, astronom, ma na imię Tom, a dzieci to Johnnie i Billy.

Jej wzrok powędrował ku Saturnowi, jakby szukając statku, w którym czekała jej rodzina. Może by go i dostrzegła, jako gwiazdę poruszającą się wśród gwiazd za pomocą żagla słonecznego. Jednakże żagiel był teraz zwinięty, gołym okiem zaś nie było widać nawet tak potężnego kadłuba, jaki miał Chronos, dzieliły ich bowiem miliony kilometrów.

- A cóż w tym złego - zapytał Luis Garcilaso ze swego fotela pilota - jeśli będziemy ciągnąć naszą małą commedia dell'arte? - Jego arizoński akcent był przyjemny dla ucha. - Lądujemy dopiero za jakiś czas, a póki co, tyra za nas pilot automatyczny. - Garcilaso był niewysoki, śniady, zwinny; nie przekroczył jeszcze trzydziestki.

Danzig skrzywił się niezadowolony. Był już po sześćdziesiątce, ale dzięki swoim zwyczajom oraz kuracjom odmładzającym zachowywał sprężyste ruchy i szczupłą sylwetkę; mógł śmiać się ze zmarszczek i łysienia. Teraz jednak śmiech odłożył na później.

- Naprawdę nie wiecie, o co chodzi? - Jego haczykowaty nos mierzył prosto w ekran skanera, pokazujący powiększenie obrazu księżycy. - Boże Wszechmocny! Mamy oto wylądować na nowym świecie - małym, ale jednak świecie i dziwnym tak bardzo, że nie możemy nawet zgadnąć jak. Nikt tu jeszcze nie był, prócz jednego przelatującego próbnika bez załogi i jednego automatycznego ładownika, który wkrótce przestał nadawać. Nie możemy polegać jedynie na kamerach i miernikach. Musimy korzystać również z oczu i mózgow. - Zwrócił się do Scobiego. - Ty powinieneś to czuć w kościach, nawet jeśli inni tego nie rozumieją. Pracowałeś zarówno na Lunie, jak i na Ziemi. Pomimo uczestniczenia w powstaniu tych wszystkich osad, pomimo wielu badań nigdy nie spotkała cię żadna przykra niespodzianka?

Scobie odzyskał równowagę. W jego głosie pojawiła się owa miękkość, która przypominała pogodę gór w Idaho, skąd pochodził.

- To prawda - przyznał. - Nie ma czegoś takiego jak zbyt wiele informacji, kiedy się jest poza Ziemią, czy wystarczająca ilość informacji. - Zatrzymał się. - Tym niemniej bojaźliwość może być równie niebezpieczna jak popęd li wość... choć nie znaczy to, że ty jesteś bojaźliwy, Mark - dodał pośpiesznie. - Skądże, przecież moglibyście żyć sobie spokojnie razem z Rachel z emerytury.

Danzig odprężył się i uśmiechnął.

- To dla mnie wyzwanie, że się tak pompatycznie wyrażę. Ale mimo wszystko chcemy wrócić do domu, kiedy już tu będzie po robocie. Powinniśmy zdążyć w sam raz na konfirmację prawnika czy dwóch. Dlatego potrzebne jest, abyśmy pozostali przy życiu.

- Mnie chodzi o to, że jeśli ktoś zaczyna odczuwać onieśmienie, to może się to dla niego skończyć gorzej niż... A, nieważne. Pewnie masz rację, a my niepotrzebnie zaczęliśmy z tym fantazjowaniem. Przedstawienie trochę nas wciągnęło. To się już nie powtórzy.

A jednak kiedy Scobie ponownie spojrział na lądolód, w jego oczach było coś więcej niż tylko beznamiętność uczonego. Podobnie było w przypadku Broberg i Garcilasa. Danzig uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Ta gra, ta cholerna, dziecinna gra - mruknął tak cicho, że jego towarzysze nie usłyszeli. - Nie mieli czegoś rozsądniejszego?

Rozdział 2

Czy nie mieli czegoś rozsądniejszego? Może i nie.

Jeśli mamy odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się trochę w historię. Kiedy pierwsze działania gospodarcze w Kosmosie dały nadzieję na uratowanie cywilizacji i Ziemi od zagłady, stało się konieczne lepsze poznanie najbliższych jej planet, zanim zacznie się je eksploatować. Rozwiązywanie tego zadania należało zacząć od Marsa, jako planety najmniej wrogiej człowiekowi. Żadne prawa przyrody nie wzbraniały wysyłania tam niewielkich statków kosmicznych z załogą. Jedyne przeciwwskazaniem było absurdalne zużywanie ogromnych ilości paliwa, czasu i wysiłku, by trzy czy cztery osoby mogły spędzić kilka dni w jednym punkcie na powierzchni planety.

Budowa jednostki J.Peter Vajk zabrała dużo więcej czasu i pieniędzy, ale opłaciła się, gdy statek, a właściwie kosmiczna kolonia, rozpostarł swój potężny żagiel słoneczny i zabrał tysiąc osób, wioząc je do celu przez pół roku nawet w nie najgorszych warunkach. Opłacalność wzrosła i jeszcze bardziej, gdy koloniści zaczęli wysyłać cenne minerały z Fobosa, których nie potrzebowali dla siebie. Owe potrzeby oczywiście objęły wieloletnie, szczegółowe badania Marsa, a w tym lądowania w różnych punktach jego powierzchni, nawet na jeszcze dłuższy okres.

Tyle przypomnienia wystarczy; nie ma potrzeby wspominać o wszystkich sukcesach tej podstawowej koncepcji w całym wewnętrznym Układzie Słonecznym aż do Jowisza. Tragedia Yladimira dała powód do podjęcia kolejnej próby z Merkurym... a na swoisty, polityczny sposób skłoniła konsorcjum brytyjsko-amerykańskie do podjęcia programu Chronos.

Nazwa ta lepiej pasowała do statku, niż przypuszczali jego projektodawcy: czas żeglugi do Saturna wyniósł osiem lat.

Nie tylko uczeni musieli być ludźmi zdrowymi, o bystrych umysłach. Tacy sami musieli być członkowie obsługi, technicy, lekarze, policjanci, nauczyciele, duchowni, przedstawiciele branży rozrywkowej - wszystkie elementy tej społeczności. Każdy musiał mieć więcej niż jedną umiejętność, aby w razie konieczności kogoś zastąpić, a owe zdolności należało utrzymywać w stałej sprawności poprzez regularne, żmudne ćwiczenia. Środowisko było hermetyczne i spartańskie; łączność z domem wkrótce ograniczyła się do krótkich audycji nadawanych skupionym promieniem. Ci, którzy dotąd byli kosmopolitami, znaleźli się jakby w odciętej od świata wiosce. Czym się mieli zająć?

Zadawano prace. Podejmowano przedsięwzięcia szczególnie przy ulepszaniu wnętrza statku. Zajmowano się badaniami, pisanie książek, studiowaniem różnych przedmiotów, sportem, udziałem w klubach hobbistów, prowadzeniem działalności usługowej lub rzemieślniczej, sprawom bardziej intymnym, czy też... Były także nagrania wideo w wielkim wyborze, ale Centrala Lotu udostępniała odbiorniki tylko na trzy godziny na dobę. Nie należało przyzwyczajać się do bierności.

Ludzie narzekali, kłócili się, tworzyli i rozwiązywali koterie i kliki, podobnie jak zawiązywali i rozwiązywali małżeństwa oraz stosunki mniej otwarte, czasem poczynali i wychowywali dzieci, wielbili, wykpiwali, uczyli się, tęsknili i w większości znajdowali w życiu wystarczające zadowolenie. Niektórzy jednak, a w tym znaczna

część utalentowanych, potrzebowali czegoś więcej, czegoś, co stałoby między marnością i zadowoleniem. Tym czymś stała się psychodrama.

Minamoto

Świt prześliznął się ponad lodem na skałę. Było to światło jednocześnie przyćmione i nieprzyjemne, ale wystarczyło, by Garcilaso zebrał ostatnie dane potrzebne do lądowania.

Szum motoru ścichł, kadłubem wstrząsnął loskot uderzenia o grunt, wyrównały położenie statku, zapadła cisza. Przez chwilę nikt nic nie. Wszyscy patrzyli na lapetusa.

W najbliższym otoczeniu była taka sama pustka, jaka panuje na większości wciał Układu Słonecznego. Spowita mrokiem równina wyraźnie opadała w dół ku horyzontowi, który z wysokości wzroku człowieka zdawał się odległy zaledwie o trzy kilometry; z wysokości kabiny statku wzrok sięgał dalej, co jednak tylko pogłębiało wrażenie przebywania na maleńkiej kulce wirującej pośród gwiazd. Grunt był pokryty cienką warstwą pyłu i żwiru kosmicznego; tu i tam niewielki krater czy występ skalny wysuwały się ponad regolit, rzucając długie, ostre, zupełnie czarne cienie. Odbłyśki światła sprawiały, że mniej było widać gwiazd, a niebo przemieniało się w czarną misę nocy. W połowie drogi między zenitem i kierunkiem południowym widoczny częściowo Saturn i jego pierścienie dodawały urody widokowi.

Podobnie zresztą lodowiec - czy też lodowce? Nikt nie był tego pewien. Wiadomo było jedynie, że z odległości lapetus błyszczał jasno, gdy znajdował się na zachodniej stronie orbity, ciemniał zaś, przesuając się na wschód, ponieważ z jednej strony pokryty był jakąś białawą substancją, z drugiej zaś nie; linia graniczna przebiegała prawie dokładnie pod planetą, ku której księżyc był niezmiennie zwrócony. Próbniki Chronosa doniosły, że warstwa jest gruba i daje zagadkowe widma, które zmieniają się w zależności od miejsca. Niewiele więcej było wiadomo.

W tym czasie czwórka ludzi spoglądała ponad posiekaną rozpadlinami pustką i widziała istne cuda unoszące się ponad horyzontem. Od północy w kierunku południa ciągnęły się mury, baszty, iglice, czeluście, nawisy a ich kształty i cienie dawały upust niezliczonym fantazjom. Na prawo Saturn rzucał łagodne światło o barwie bursztynu, jednak niemal całkowicie przyćmione blaskiem padającym ze wschodu, gdzie Słońce, skarlałe prawie do rozmiarów gwiazdy, świeciło jednak zbyt mocno, by można było nań spoglądać gołym okiem. Srebrzysty blask rozpryskiwał się tam w brylantowe kaskady rozproszonego światła, chłodnych błękitów i zieleni. Oczy, oślepienie aż do łez, widziały obraz zanikający i falujący jakby z pogranicza krainy snów, krainy baśni. Ale mimo wszelkich delikatnych misterności pod spodem krył się chłód i brutalna masa; tu też mieszkali Lodowi Olbrzymi. Broberg pierwsza odzyskała mowę.

- Lodowe Miasto - szepnęła.

- Czary - odezwał się równie cicho Garcilaso. - Moja dusza mogłaby się tu zagubić na zawsze, wędrując. I nie wiem, czy miałbym jej to za złe. Moja jaskinia to nic wobec tego, nic...

- Chwileczkę! - rzucił Danzig, pełen obaw.

- O, tak. Uprzejmie prosi się o poskromienie wyobraźni. - Choć Scobie szybko potrafił zdobywać się na trzeźwe słowa, w jego ustach brzmiały one bardziej sucho, niż było to konieczne. - Wiemy z informacji przekazanych przez próbniki, że ta skarpa, hm, przypomina trochę Wielki Kanion. Jasne, że jest o wiele wspanialsza, niż to sobie mogliśmy wyobrazić, co, moim zdaniem, dalej pozostaje tajemnicą. - Zwrócił się do Jean. - Ja nigdy nie widziałem lodu czy śniegu o takich kształtach, a ty? Mówiłaś coś, że gdy byłaś mała i mieszkałaś w Kanadzie, często oglądałaś góry i krajobraz zimowy. Fizyczka potrząsnęła głową.

- Nie. Nigdy. To nie wydaje się możliwe. Co mogło być przyczyną takiego ukształtowania? Tu nie ma działania czynników atmosferycznych... a może jest?

- Może to samo zjawisko spowodowało оголоenie jednej półkuli? - podsunął Danzig.

- Albo pokrycie drugiej - odparł Scobie. - Ciało astronomiczne o średnicy tysiąca siedmiuset kilometrów nie powinno mieć warstwy gazowej nawet w postaci lodu. Chyba że jest to kula całkowicie zbudowana z lodu jak kometa. A wiemy, że tak nie jest.

Jak gdyby chcąc poprzeć swoje słowa doświadczeniem, z pobliskiego stojaka z narzędziami zdjął kombinerki, upuścił je i ponownie pochwycił, gdy wolno opadały w dół. Przy swej masie dziewięćdziesięciu kilogramów Scobie ważył tu około siedmiu. A więc księżyc musiał się składać głównie ze skał.

Garcilaso zaczął okazywać niecierpliwość.

- Dajmy spokój znanym faktom i teoriom, a zacznijmy szukać odpowiedzi.

- Tak, wyjdźmy. Tam - powiedziała w uniesieniu Jean Broberg.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował Danzig, gdy Garcilaso i Scobie przytaknęli jej entuzjastycznie. - Chyba nie mówicie tego poważnie. Ostrożność, krok za krokiem...

- Nie, tu jest zbyt cudownie na ostrożność - głos Broberg drżał.

- Tak, do diabła z leniuchowaniem - powiedział Garcilaso. - Już powinniśmy przeprowadzić choć wstępny zwiad. Zmarszczki na twarzy Danziga pogłębiły się.

- Masz na myśli siebie, Luis? Ale jesteś przecież naszym pilotem!

- Po wylądowaniu jestem dla was, uczonych, głównym asystentem, naczelnym kucharzem i chłopcem na posyłki. Czy myślisz, że będę tu się nudził, gdy widzę coś takiego do zbadania? - Garcilaso opanował głos. - Poza tym, gdyby mi się coś stało, każdy z was potrafi wrócić przy niewielkim naprowadzeniu z Chronosa i automatycznym dokowaniu.

- To ma sens, Mark - przekonywał Scobie. - Jasne, że niezbyt zgodne z instrukcją, ale to instrukcje są dla nas, a nie na odwrót. Niewielka odległość, niskie ciśnienie, a poza tym będziemy uważać na niebezpieczeństwa. Chodzi o to, że dopóki nie wiemy, co to za lód, nie będziemy też mieli pojęcia, czego tu szukać w okolicy. Nie, wyskoczmy tylko na chwileczkę. Kiedy wrócimy, wówczas zaczniemy planować.

Danzig zeszywniał.

- Chciałbym wam przypomnieć, że jeśli coś się stanie, pomoc przyjdzie dopiero za co najmniej sto godzin. Statek pomocniczy, taki jak nasz, nie może

lecieć szybciej, jeśli ma mu starczyć paliwa na powrót, a większe jednostki z okolic Saturna i Tytana są jeszcze dalej.

Scobie aż poczerwieniał, urażony przypuszczeniem, jakie brzmiało w słowach Marka.

- A ja chciałbym ci przypomnieć, że na łądzie to ja dowodzę! Twierdzę, że bliski zwiad jest bezpieczny i pożądany. Możesz zostać, jeśli chcesz. Właściwie to musisz: instrukcja słusznie stwierdza, że w statku musi zawsze ktoś być.

Danzig przyglądał mu się przez kilka sekund, zanim mruknął:

- Luis jednak wychodzi, tak?

- Tak! - wykrzyknął Garcilaso tak głośno, że ściany kabiny zadzwoniły

Broberg poklepała Danziga po opuszczonej bezwładnie dłoni.

-- Wszystko będzie dobrze, Mark - powiedziała łagodnie. - Przyniesiemy ci próbki do badań. A potem wcale się nie zdziwię, jeśli to ty będziesz miał najlepsze koncepcje co do dalszego postępowania. / Potrząsnął głową. Nagle ogarnęło go zmęczenie.

- Nie - odparł beznamiętnym głosem - to się nie zdarzy. Widzisz, jestem tylko tępym chemikiem zatrudnionym w przemyśle, któremu wydawało się, że ta wyprawa da szansę ciekawych badań. Przez całą drogę zajmowałem sobie czas zwykłymi sprawami, a w tym, jak. pamiętasz, dwoma wynalazkami, których nigdy przedtem nie miałem czasu dokończyć. Wy troje jesteście młodszy, bardziej romantyczni...

- E tam, przestań, Mark - Scobie próbował się roześmiać. - Może Jean i Luis trochę są tacy, ale ja jestem tak baśniowy jak talerz zupy.

- Grałeś w to rok po roku, aż w końcu gra tobą zawładnęła. I teraz też tobą rządzi, choćbyś nie wiem jak starał się uzasadnić swoje postępowanie. - Spojrzenie Danziga utkwione w geologu, który był jego przyjacielem, straciło swe poprzednie wyzwanie i stało się smutne. - Przypomnij sobie Delię Ames.

Scobie najeżył się.

- O co chodzi? Sprawa dotyczyła tylko jej i mnie i nikogo więcej.

- Tylko że później wyplakała się na ramieniu Rachel, a Rachel nie ma przede mną tajemnic. Nie bój się, nikomu nie powiem. W każdym razie Delia jakoś to przeżyła. Ale gdybyś popatrzył na to wszystko obiektywnie, wiedziałbyś, co ci się przydarzyło już trzy lata temu.

Scobie zacisnął zęby. Danzig uśmiechnął się kącikiem ust.

- Nie, widzę, że to niemożliwe - mówił dalej. - Przyznaję, że ja też nie miałem do dzisiaj pojęcia, jak daleko posunął się ten proces. Przynajmniej póki będziecie na zewnątrz, trzymajcie swoje fantazje w ukryciu, dobrze? Ale czy potraficie?

W ciągu pięciu lat podróży kwatery Scobiego stała się w szczególny sposób jego własnością - może nawet więcej niż u innych, ponieważ on sam pozostał kawalerem, a rzadko która kobieta mieszkała u niego dłużej niż kilka okresów nocnych naraz. Większość umeblowania wykonał sam; agrosekcje Chronosa dostarczały drewna, skóry, włókna równie regularnie jak pożywienia i świeżego powietrza. Wykonane przezeń sprzęty były masywne i miały archaiczne rzeźbione zdobienia. Czytał głównie za pomocą ekranu tylko to, co przekazywały banki danych, ale na jednej z półek stało kilka starych książek: ballady z pogranicza Childe'a, osiemnastowieczna Biblia rodzinna (mimo że Scobie był

agnostykiem), egzemplarz Mechanizmów wolności, cały w strzępach, ale z zachowaną dedykacją autora, a także inne cenne drobiazgi. Nad nimi stał model żaglowca, w którym Scobie pływał po wodach północnej Europy, oraz nagroda zdobyta w meczu piłki ręcznej na pokładzie Chronosa. Na grodziach wisiał jego sprzęt do szermierki i liczne zdjęcia - rodziców i rodzeństwa, dzikich terenów, które przemierzał na Ziemi, zamków, gór i wrzosowisk w Szkocji, gdzie też często bywał, kolegów z ekipy geologicznej na Lunie, Tomasza Jeffersona oraz wymyślony portret Roberta I, króla Szkocji.

Jednak podczas pewnego okresu dziennego siedział przed teleekranem, przy przyćmionych światłach, aby lepiej delektować się obrazem. Trwały właśnie wspólne ćwiczenia jednostek pomocniczych i kilka osób z załogi skorzystało z tej okazji, by transmitować wszystko, co widzą.

A widok był wspaniały. Rozgwieżdżony Kosmos tworzył czarę, na dnie której spoczywał Chronos. Dwa olbrzymie, majestatycznie obracające się w przeciwnych kierunkach cylindry, cały kompleks połączeń, iluminatorów, śluz, osłon, kolektorów, nadajników, doków - wszystko wydawało się z odległości kilkuset kilometrów jakąś po japońsku misterną zabawką. Większą część ekranu wypełniał żagiel solarny, niczym obracający się złocisty krąg słoneczny; a jednak z dala można było dostrzec również jego pajęczynową misterność, rozległe i subtelne krzywizny, nawet cienkość babiego lata. Twór większy niż piramidy egipskie, precyzyjniejszy niż wymodelowany chromosom - Chronos podążał ku Saturnowi, który stał się już drugim po Słońcu najjaśniejszym punktem na firmamencie.

Gong u drzwi wyrwał Scobiego z oczarowania. Podniósł się i ruszył ku drzwiom, po drodze silnie uderzając się palcem u nogi o podstawę stołu. Zawiniła tu siła Coriolisa; niewielka, w przypadku gdy kadłubowi statku o tych rozmiarach nadawano ruch obrotowy, by osiągnąć efekt 1 G, więc już dawno się do niej przyzwyczaił. Czasem jednak tak go coś zajmowało, że powracały ziemskie nawyki. Złajał się w myślach za swe roztargnienie, bez złości, bo oczekiwał miłych chwil.

Kiedy otworzył drzwi, Delia Ames weszła, nie czekając. Natychmiast zamknęła drzwi za sobą i stanęła opierając się o nie. Była to wysoka blondynka, która pracowała w dziale konserwacji urządzeń elektronicznych, a poza tym miała wiele zajęć dodatkowych.

- Hej! - zawołał Scobie. - Co się stało? Wyglądasz jak... - spróbował być dowcipny - jak coś, czego mój kot nie wzięłby w łapy, gdyby na pokładzie były jakieś myszy czy wyrzucone na brzeg ryby.

Zaczerpnęła oddechu. Jej australijski akcent pogłębił się tak bardzo, że miał kłopoty ze zrozumieniem. - Ja... dzisiaj... przypadkiem usiadłam w kawiarni przy jednym stoliku z George'em Hardingiem...

Scobie poczuł się nieswojo. Harding pracował razem z Delią, ale o wiele więcej wspólnego miał z nim. W grupie, do której obaj należeli, Harding tak samo jak on grał jedną z mniej lub bardziej wiodących ról - N'kumy, Pogromcy Lwów.

- Co się stało? - spytał Scobie.

W jej oczach ujrzał nieszczęście.

- On powiedział... że ty i on, i cała reszta... że weźmiecie razem najbliższy urlop... aby bez przeszkód ciągnąć ten... ten wasz cholerny wyglup.

- No... tak. Prace nad nowym parkiem w Prawym Kadłubie zostaną zawieszona do czasu, gdy odzyskamy dość metalu na rury do wody. Nie będzie tam nikogo, więc moi załatwili sobie możliwość spędzenia tam około tygodnia.

- Ale przecież wybieraliśmy się nad jezioro Armstrong!

- No, zaraz, był to tylko luźny projekt, żaden konkretny plan, a to taka niezwykła okazja... Może później, kochanie. Przepraszam. - Ujął jej dłonie. Były zimne. Zdobył się na uśmiech. - No, dobrze już, przecież mieliśmy sobie zrobić uroczystą kolację, a potem spędzić, powiedzmy, spokojny wieczór w domu. Ale na początek ten przewspaniały widok na ekranie...

Wyrwała mu się. Zdawało się, że ten gest ją uspokoił.

- Nie, dziękuję - odparła martwym głosem. - Nid ma mowy, skoro wolisz być z tą Broberg. Wpadłam tylko, by ci osobiście powiedzieć, że usuwam się wam z drogi.

- Co takiego? - Zrobił krok w tył. - O czym ty mówisz, do jasnej cholery?

- Dobrze wiesz o czym.

- Nie wiem! Ona, ja, ona ma męża, dwoje dzieci, jest starsza ode mnie, jesteśmy zaprzyjaźnieni, jasne, ale nigdy między nami nie było nic, czego nie można robić otwarcie i bez skrepowania... - Przelknął ślinę. - Chyba nie myślisz, że się w niej zakochałem?

Delia Ames odwróciła wzrok. Nerwowo splatała palce.

- Nie mam zamiaru być tylko twoją zabawką, Colin. Tego masz aż za dużo. Ja myślałam... ale myliłam się i chcę się wycofać, póki nie straciłam zbyt wiele.

- Ale... Dee, przysięgam ci, że to nie z powodu kogoś innego i przysięgam, przysięgam ci, że nie jesteś dla mnie tylko partnerką do łóżka, że wiele dla mnie znaczysz... - Stała milcząca, nieobecna, Scobie przygryzł wargi, nim mógł wydusić z siebie: - No dobrze, przyznaję, głównym powodem, dla którego zgłosiłem się na tę wyprawę, był nieszczęśliwy romans na Ziemi. Nie to, żeby ta praca tutaj mnie nie interesowała, ale zdałem sobie sprawę, ile życia mnie tamto kosztowało. Ty, bardziej niż jakakolwiek inna kobieta, Dee, sprawiłaś, że jest mi teraz o wiele lepiej.

Skrzywiła się.

- Ale jeszcze bardziej sprawiła to twoja psychodrama, co?

- No, nie możesz myśleć, że gra stała się moją obsesją. To nieprawda. To fajna zabawa i... no, może „zabawa” to zbyt słabe określenie... ale w każdym razie chodzi o to, że zbiera się parę osób dość regularnie i w coś grają. To tak A jak moja szermierka, klub szachowy czy cokolwiek.

Rozprostowała ramiona.

- W takim razie - odezwała się - czy odwołasz tamtą grę i pojedziesz ze mną na urlop?

- Ja... ja nie mogę tego zrobić. Nie na tym etapie. Kendrick nie znajduje się na uboczu głównego toku wydarzeń, ale jest ściśle związany z innymi. Jeśli nie przyjdę, pozostałym popsuje to grę.

Jej wzrok spoczywał na nim nieruchomo.

- Dobrze. Słowo to słowo, to zawsze zrozumieć. Ale później... Nie bój się, nie chcę cię zapędzić w pułapkę. To by się na nic nie zdało, prawda? Jeśli, jednak mimo wszystko zdecyduję się utrzymać ten nasz związek, czy wycofasz się stopniowo z twojej gry?

- Nie mogę... - Wezbrał w nim gniew. - Nie, do diabła! - ryknął. -, - A wiesz żegnaj, Colin - powiedziała i wyszła.

Jeszcze przez wiele minut patrzył na drzwi, które za sobą zamknęła.

W przeciwieństwie do wielkich statków badających Tytana i okolice Saturna pojazdy lądujące na powierzchni pozbawionych atmosfery księżyców były po prostu zmodyfikowanymi wahadłowcami, łączącymi Lunę z Kosmosem - niezawodnymi, ale o ograniczonych możliwościach. Kiedy kanciasty kształt ładownika zniknął za horyzontem, Garcilaso odezwał się do mikrofonu:

- Straciliśmy statek z oczu, Mark. Trzeba powiedzieć, że widok zyskał na tym. - Jego słowa przekazał jeden z mikrosatelitów komunikacyjnych rozsianych po orbicie.

- Lepiej więc zainicjujcie znaczyć drogę - upomniał go Danzig.

- Pedant z ciebie, co? - Tym niemniej Garcilaso wyjął z kabury na biodrze rozpylacz i prysnął zeń na ziemię, tworząc krąg żywo fluorescencyjnej farby.

Będzie powtarzał tę operację w odstępach równych zasięgowi wzroku, dopóki grupa zwiadowcza nie dotrze do lodowca. Jeśli nie liczyć tych miejsc, w których regolit pokrywała gruba warstwa pyłu, ślady stóp były niewyraźne, a całkowicie ginęły tam, gdzie piechur stąpał po litej skale.

Piechur? Nie, skoczek. Cała trójka poruszała się naprzód w radosnych podskokach, ledwie czując ciężar skafandrów, systemów regulacji biologicznej, toreb z narzędziami i żywnością. Nagi grunt uciekał spod stóp, a coraz wyżej, coraz wyraźniej i wspanialej wylaniał się przed nimi lód.

Nie było mowy o tym, by go opisać. Można by opowiadać o stokach w dole i palisadach w górze, o wysokości średnio może stu metrów, przetykanych jeszcze wyższymi iglicami. Można by mówić o wdzięcznie zaokrąglonych warstwach idących wzdłuż tych stoków; o koronkowych parapetach i żłobkowanych turniach, i łukowatych wejściach do pieczar pełnych dziwów; o tajemniczych błękitach w głębinach i zieleniach tam, gdzie światło przenikało przez przejrzystość, o kaskadach brylantowych iskier przecinających biel, gdzie światło i cień spletały się w mandale - i żaden z tych opisów nie byłby bliższy prawdy niż wcześniejsze, całkowicie błędne porównanie Scobiego do Wielkiego Kanionu.

- Zatrzymajcie się - powiedział chyba już po raz dziesiąty. - Chcę zrobić parę zdjęć.

- Czy ktoś to zrozumie nie będąc tutaj? - szepnęła Broberg.

- Prawdopodobnie nie - odparł Garcilaso tym samym ścisłym głosem. - Może nikt w ogóle poza nami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - rozległo się pytanie Danziga.

- Nieważne - rzucił Scobie.

- Chyba... wiem - powiedział chemik. - Owszem, to piękny widok, ale dajecie się mu zahipnotyzować.

- Jeśli nie przestaniesz gadać - ostrzegł go Scobie - wyłączymy cię z obwodu. Cholera, mamy pełne ręce roboty. Odwal się od nas.

Danzig westchnął urywanie.

- Przepraszam. Hm... czy macie już jakieś dane na temat natury tego... tego tam, przed wami?

Sobie wyostrzył obraz w kamerze.

- No więc - zacznij, częściowo udobruchany - różne odcienie i struktury, a bez wątplenia i różne kształty, zdają się potwierdzać to, co zasugerowały dane spektrometryczne sondy. Skład jest mieszaniną albo gmatwaniną, czy też jednym i drugim, różnych materiałów i zmienia się w zależności od miejsca. Lód wodny jest z pewnością, ale nie mam też wątpliwości co do obecności dwutlenku węgla, a zaryzykowałbym też zakład, że znajduję tu amoniak, metan i może mniejsze ilości innych substancji.

- Metan? Czy coś takiego może istnieć w stanie stałym, w temperaturze otoczenia i próżni?

- Będziemy musieli to sprawdzić. Jednakże sądzę, że przez większość czasu jest tu dostatecznie zimno, przynajmniej dla warstwy metanowej, która znajduje się w środku, pod ciśnieniem.

Otoczona witrylową kulą helmu twarz Broberg zajaśniała radością.

- Chwileczkę! - wykrzyknęła. - Mam pomysł na to... co się stało z sondą, która wylądowała. - Zaczepnęła oddechu. - Pamiętajcie, że było to prawie u podnóża lodowca. To, co widzieliśmy z Kosmosu, zdawało się wskazywać, że pogrzebała ją lawina, ale nie potrafiliśmy pojąć, co mogło ją wywołać. No więc przypuścmy, że dokładnie w krytycznym punkcie stopiła się warstwa metanu. Może ogrzały ją silniki ładownika, a te brakujące parę stopni dodał promień radarowy, używany do rysowania konturów. Warstwa popłynęła i wszystko, co spoczywało na niej, runęło w dół.

- To możliwe - rzekł Scobie. - Moje gratulacje, Jean.

- Nikt o tym wcześniej nie pomyślał? - zadrwił Garcilaso. - Ależ my mamy naukowców!

- Którzy uginają się pod robotą, od kiedy dotarliśmy do Saturna, a jeszcze dochodzą coraz to nowe dane - odrzekł Scobie. - Wszechświat jest większy, niż możesz to pojąć, ty lub ktokolwiek inny, ty narwańcze.

- Och. No pewnie. Nie chciałem nikogo obrazić. - Wzrok Garcilasa powrócił na lód. - Tak, nie zabraknie nam tajemnic, prawda?

- Nigdy... - Oczy Broberg, ogromne, świeciły w ciemnościach. - W sercu wszechrzeczy panować będą czary. Król Elfów rządzi...

Scobie odłożył kamerę do futerału.

- Przestań gadać i rusz się - rzucił szorstko.

Jego wzrok napotkał na chwilę oczy Broberg. W niesamowitym, zmieszonym świetle widać było, że jej twarz pobladła, potem poczerwieniała, zanim kobieta jednym skokiem znalazła się obok niego.

W noc sobótkową Ricia udała się samotnie do Księżycowego Lasu. Król znalazł ją tam i posiadał, jak to zaplanowała. Jednak rozkosz przemieniła się w trwogę, gdy potem ją oddalił. A mimo to okres niewoli w Lodowym Mieście

przyniósł jej o wiele więcej takich godzin oraz cudów i dziwów, jakie nie są znane śmiertelnym. Alvarlan, jej nauczyciel, wysłał swą duszę na jej poszukiwanie i sam został oczarowany tym, co zobaczył. Wiele wysiłku woli kosztowało go powiadomienie pana Kendricka z Wysp, gdzie przebywa Ricia, mimo że zobowiązał się do pomocy w jej uwolnieniu.

N'Kuma, Pogromca Lwów, a także B'ela z Kresów, Karina z Dalekiego Zachodu, pani Aurelia, Olaf Harfista - wszyscy byli daleko, gdy to się wydarzyło.

Lodowiec (niewłaściwa nazwa dla czegoś, co może nie ma odpowiednika w całym Układzie Słonecznym) wystrzelał w górę od razu niczym ściana. Stojąc przed nim, troje uczonych nie mogło dojrzeć jego wyższych partii. Dostrzegali jednak, że stok, który zakręcał stromo pod górę ku filigranowo zwieńczonej krawędzi, nie był gładki. W niezliczonych maleńkich kraterach kładły się niebieskie cienie. Słońce uniosło się już dostatecznie wysoko, by je wywołać; dzień na lapetusie ma prawie osiemdziesiąt dni ziemskich.

W słuchawkach zatrzeszczało im pytanie Danziga:

- I co, jesteście już zadowoleni? Wróćcie, zanim zaskoczy was kolejna lawina?

- Nie zaskoczy - odparł Scobie. - My to nie pojazd, a tutejsza struktura jest wyraźnie stabilna od wielu wieków albo jeszcze dłużej. Poza tym, jaki jest sens wyprawy ludzkiej, jeśli nikt nie będzie niczego badać?

- Zobaczą, czy uda mi się tam wejść - zaofiarował się Garcilaso.

- Nie, zaczekaj - nakazał mu Scobie. - Ja mam pewne doświadczenie z górami i nawisami śnieżnymi, o ile w ogóle może się tu ono przydać. Najpierw opracujemy drogę podejścia.

- Chcecie na to wleźć całą bandą ? - wybuchnął Danzig. - Czyście zupełnie powariowali?

Brwi i wargi Scobiego ściągnęły się.

- Ponownie cię ostrzegam, Mark, że jeśli nie będziesz kontrolował swych emocji, wyłączymy cię. Pójdziemy drogą, którą ja uznaję za bezpieczną.

Chodził tu i tam, podskokami charakterystycznymi dla małej grawitacji, oglądając uważnie lodowiec. Widać było wyraźnie warstwy i bloki poszczególnych substancji, niczym kamienie ciosowe ułożone ręką murarza-elfa... tam, gdzie nie były tak wielkie, żeby musiał je kłaść olbrzym... Maleńkie kratery mogły być posterunkami wartowników w najniższej linii obrony Miasta.

Garcilaso, tak zawsze pełen wigoru, stał teraz nieruchomo i pozwolił swym oczom napawać się widokiem. Broberg uklękła, by zbadać grunt, ale jej oczy też błędziły dookoła.

W końcu skinęła dłonią.

- Podejź tu, Colin, proszę - powiedziała. - Chyba dokonałam odkrycia.

Scobie zbliżył się do niej. Unosząc się zebrała garść drobniotkich czarnych cząstek leżących na gruncie, na którym stała, i przepuściła je między palcami.

- Myślę, że oto jest powód, dla którego granica lodowa jest tak ostra - powiedziała do niego.

- Co za powód? - zapytał Danzig z oddali.

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Gdy tu szliśmy, zauważyłam, że pyłu jest coraz więcej - mówiła dalej. - Jeśli padał na polacie i bryły zamrożonych gazów, odizolowane od głównej masy, i pokrył je, powinny one absorbować ciepło słoneczne, dopóki nie wyparują albo też, co bardziej prawdopodobne, wysublimują. Przy tej niskiej grawitacji nawet cząsteczki wody ulecą w Kosmos. Główna masa była na to zbyt wielka: prawo kwadratu-sześciannu. Ziarna pyłu w takim miejscu po prostu wytopiłyby sobie niewielki kanał w głąb, a następnie zostałyby przykryte zapadającym się okolicznym materiałem i proces uległby zatrzymaniu.

- Hm - Scobie uniósł dłoń, by podrapać się w podbródek, ale natrafił na hełm i wykrzywił się w uśmiechu. - To brani prawdopodobnie. Ale skąd się wzięło tyle pyłu... a zresztą i lodu?

- Myśle... - głos jej ścichł tak, że ledwie ją słyszał, a wzrok powędrował ku Luis9WJ-, Scobie, nadal patrzył na nią, na jej profil widoczny na tle gwiazd. - Myślę, że to potwierdza twoją hipotezę o komecie, Colin. Iapetus doznał kolizji z kometą. Nadleciała z tego właśnie kierunku, ponieważ tak bardzo zbliżyła się do Saturna, że musiała zatoczyć ostry łuk wokół planety. Była ogromna; jej łód pokrył prawie całą półkulę pomimo tego, że znacznie większa jego część wyparowała i została utracona. Pył częściowo pochodzi z komety, a częściowo powstał podczas uderzenia.

- Schwycił ją za ramię okryte skafandrem.

- To twoja teoria, Jean. Ja nawet nie byłem pierwszy, który poddał myśl o komecie, ale to ty uzupełniłaś ją szczegółami.

Zdawało się, że nie dostrzegła tego, poza tym, że mruzczała dalej:

- Pył może też tłumaczyć wystąpienie erozji, która stworzyła te cudowne formacje. Wywołał on topnienie i sublimację na powierzchni, według wzoru, w jaki się ułożył, a także zgodnie z budową lodu, dopóki nie został wypłukany czy otorbielony. Kratery, te mniejsze oraz większe, które oglądaliśmy z orbity, mają odrębne, choć podobne pochodzenie. Meteoryty...

- Hej, chwileczkę - zaprotestował. - Każdy większy meteoryt wyzwoliłby dość energii, by wyparowało prawie całe pole.

- Wiem o tym. Dowodzi to, że zderzenie z kometą było niedawne, mniej niż tysiąc lat temu, inaczej nie oglądalibyśmy dziś tego cudu. Nic większego jeszcze tu nie uderzyło. Miałam na myśli maleńkie kamyki, piach kosmiczny na postępujących orbitach wokół Saturna, które uderzały z niewielką prędkością względną. Większość kamieni po prostu robi dołki w lodzie. Ponieważ jednak są ciemne, leżąc zbierają ciepło słoneczne i oddają je topiąc swe otoczenie, dopóki nie zatoną pod lodem. Pozostawione przez nie zagłębienia odbijają przypadkowe promieniowanie z jednego boku na drugi i w ten sposób rosną. Efekt kotła erozyjnego. I znowu, ponieważ różne rodzaje lodu mają różne właściwości, nie otrzymujemy doskonale gładkich kraterów, ale te fantastyczne czary, które widzieliśmy przed lądowaniem.

- Na Boga! - Scobie uściskał ją. - Jesteś genialna!

Oparłszy swój hełm o jego uśmiechnęła się.

- Nie - odparła. - To oczywiście dla wszystkich, którzy widzą to na własne oczy. - Milczała przez chwilę, nadal w objęciach Scobiego. - Przyznaję, naukowa intuicja to śmieszna rzecz - powiedziała w końcu. - Rozważając ten problem

ledwie zdawałam sobie sprawę z istnienia mego umysłu logicznego. Myślałam zaś o... o Lodowym Mieście wykutym w gwiazdnych kamieniach z tego, co jakiś bóg zesłał z nieba...

- Jezus Maria! - Garcilaso obrócił się gwałtownie i wytrzeszczył na nich oczy. Scobie wypuścił Jean z objęć.

- Pójdziemy poszukać dowodów - powiedział niepewnym głosem. - Do tego wielkiego krateru, który widzieliśmy nieco w głębi, jak pamiętacie. Wydaje się, że po tej powierzchni można stąpać całkiem bezpiecznie.

- Nazwałam ten krater Salą Balową Króla Elfów - zamyśliła się Jean, jak gdyby jakiś sen do niej wracał.

- Uważajcie - zadudnił śmiech Garcilasa. - Tam są wielkie czary. Król jest tylko spadkobiercą. Te mury zbudowali olbrzymi dla bogów.

- Chyba muszę się jakoś tam dostać, nie? - odparł Scobie.

- Zaiste - powiada Aharlan. - Nie mogę cię dalej prowadzić. Mój duch może spoglądać jeno przez oczy śmiertelnych. Służyć ci będę jedynie swą radą, dopóki nie zbliżymy się do bramy.

- Czyście już zapadli w sen lunatyczny z powodu tej waszej bajki? - rozległ się ryk Danziga. - Wracajcie, zanim spowodujecie własną śmierć!

- Nie możesz się zamknąć? - warknął Scobie. - To tylko taki styl rozmów między nami. Jeśli nie możesz tego zrozumieć, to twój mózg bardziej się marnuje niż nasz.

- Posłuchajcie mnie, dobrze? Nie mówiłem, że jesteście szaleni. Nie macie zwidów ani niczego podobnego. Twierdzą jednak, że daliście się ponieść wytworom waszej fantazji co do tego miejsca, a obecnie rzeczywistość tak je wzmocniła, że znaleźliście się pod wpływem imperatywu, którego sobie nie uświadamiacie. Czy gdziekolwiek indziej we Wszechświecie pobieglibyście przed siebie tak bez zastanowienia? Pomyślcie!

- To wystarczy. Wznowimy łączność po pewnym czasie... kiedy nabierzesz lepszych manier. - Scobie pstryknął swoim głównym przełącznikiem radiowym. Włączone pozostały tylko te obwody, które służyły łączności bliskiego zasięgu, ale nie miały dość mocy, by dotrzeć do łącza orbitalnego. Jego towarzysze uczynili podobnie.

Cała trójka spoglądała na wznoszącą się przed nimi groźną potęgę.

- Kiedy znajdziemy się we wnętrzu, Alvarlanie, pomożesz mi odnaleźć księżniczkę - mówi Kendrick.

- Uczynię to - obiecuje czarnoksiężnik.

- Czekam na ciebie, o najwytrwalszy z moich kochanków - nuci Ricia.

W ładowniku zaś samotny Danzig nieomal załkał:

- Ach, żeby diabli porwali na zawsze tę grę!

Jego słowa padły w pustkę.

Rozdział 3

Potępienie psychodramy, nawet w jej wzbogaconej formie, byłoby potępieniem natury człowieka.

Zaczyna się ona w dzieciństwie. Zabawa jest konieczna dla niedojrzałego ssaka jako sposób uczenia się, jak obchodzić się z własnym ciałem, postrzeganiem i światem zewnętrznym. Młody osobnik ludzki bawi się, musi się bawić również swym umysłem. Im dziecko jest bardziej inteligentne, tym więcej ćwiczeń potrzebuje jego wyobraźnia. Aktywność jest stopniowana, od pasywnego oglądania widowiska na ekranie poprzez czytanie, marzenia, opowiadanie historii i psychodramę... które dziecko nie nazywa w ten wymyślny sposób.

Nie potrafimy nazwać tego zachowania w jakiś uniwersalny sposób, bowiem jego kształt i przebieg zależy od nieskończonej liczby zmiennych. Płeć, wiek, kultura oraz otoczenie to tylko najbardziej oczywiste z nich. Na przykład w Ameryce Północnej wieku przedewszystkiem małe dziewczynki często bawiły się w „dom”, chłopcy zaś w „kowbojów i Indian”, czy też „złodziei i policjantów”. Natomiast obecnie ich potomkowie obojga pici bawią się w „delfiny” lub też w „astronautów i kosmitów”. W skrócie wygląda to tak: tworzy się niewielka grupka, każdy z jej członków wybiera z literatury postać, którą ma zagrać lub tworzy ją sam; można wykorzystywać do tego proste rekwizyty, na przykład zabawkowe pistolety - albo też każdy przypadkowy przedmiot, jak patyk, może stać się czymś zupełnie innym, choćby wykrywaczem metalu - czy też coś innego może być całkowicie tworem wyobraźni, co prawie zawsze dotyczy scenerii. I wtedy dzieci odgrywają przedstawienie, które układają w czasie trwania zabawy. Jeśli fizycznie nie są w stanie wykonać jakiejś czynności, opisują ją („No więc skaczę tak wysoko, jak można na Marsie, i wskakuję na krawędź Yalles Marineris i skaczę znieścaka na tego bandziora”). Wiele osób tego przedstawienia, szczególnie czarnych charakterów, istnieje tylko w wyobraźni, dzięki umowie uczestników.

Ten z uczestników zabawy, który jest obdarzony najbujniejszą wyobraźnią, zaczyna dominować w grze i wpływa na kierunek akcji, dość delikatnie, proponując najciekawsze możliwości. Reszta uczestników bystrością też wykracza poza przeciętność; psychodrama w swej najbogatszej postaci nie każdemu odpowiada.

Dla tych jednak, którym odpowiada, jej skutki są korzystne i pozostają na całe życie. Poza rozwojem zdolności twórczych poprzez ich nieustanne używanie psychodrama pozwala im również spróbować, poprzez zabawę, różnych ról ludzi dorosłych oraz przeżyć ich doświadczenia. W ten sposób zdobywają oni swoje pierwsze pojęcie o dorosłości.

Taka gra kończy się wraz z wkroczeniem w okres młodzieńczy, o ile nie wcześniej, ale tylko w takiej postaci, a i to niekoniecznie na zawsze. Dorośli mają wiele zabaw-marzeń. Widać to jasno w przypadku różnych łóż, z ich tytułami, kostiumami i obrzędami. Ale czy w podobny sposób nie powstaje wszelka widowiskowość, każdy rytuał? Do jakiego stopnia nasze bohaterstwo, poświęcenie i samochwalstwo są jedynie efektem odgrywania ról, które sobie narzuciliśmy? Niektórzy myśliciele spróbowali odnaleźć ten pierwiastek we wszystkich aspektach społeczeństwa.

Tu jednak mamy do czynienia z otwartą postacią psychodramy wśród dorosłych. W cywilizacji zachodniej pojawiła się ona na zauważalną skalę po, raz pierwszy w połowie dwudziestego wieku. Psychiatrizy stwierdzili, że jest to skuteczna metoda diagnostyczna i terapeutyczna. Wśród zwykłych ludzi zaś coraz popularniejsze stawały się gry wojenne i fantastyczne, w czasie których często następowało identyfikowanie się z postaciami historycznymi czy wymyślonymi. Częściowo była to niewątpliwie ucieczka od ograniczeń i zagrożeń tamtego nieszczęsnego okresu, ale możliwe też, że głównie to bunt umysłu przeciwko rozrywce pasywnej, przeważnie telewizji, która zaczynała dominować jako sposób spędzania wolnego czasu.

Okres Chaosu oznaczał koniec tych gier. A wszyscy wiedzą o tym, że ostatnio nastąpiło ich odrodzenie - i tylko można mieć nadzieję, że ze zdrowszych przyczyn. Wykorzystując banki danych do projekcji trójwymiarowych scenerii i emitowania odpowiednich dźwięków - albo lepiej jeszcze, zaprzęgając do tego komputer - uczestnicy gry uzyskali poczucie realności, które zintensyfikowało ich zaangażowanie psychiczne i emocjonalne. A jednak w takich grach, które trwały odcinek po odcinku, rok po roku w realnym czasie, kiedy tylko dwoje lub więcej członków takiej grupy mogło się zebrać na grę, stwierdzali oni, że coraz mniej są uzależnieni od podobnych „efektów specjalnych”. Wydawało się, że poprzez praktykę odzyskali oni żywą wyobraźnię dzieciństwa i potrafili przemienić cokolwiek, nawet zwiewną nicłość w przedmioty i światy im potrzebne.

Uznałem za konieczne przypomnienie w ten sposób spraw oczywistych, abyśmy mogli ujrzeć je w perspektywie. Wieści z Saturna spowodowały powszechną odrazę. (Dlaczego? Jakich to ukrytych obaw dotknięto? Oto temat do potencjalnie ważnych badań.) Nieomal w ciągu jednego dnia psychodrama dorosłych straciła swą popularność; grozi jej zagłada. Z wielu przyczyn byłaby to o wiele większa tragedia, niż to, co się do tej pory wydarzyło. Nie ma powodów, by przypuszczać, że owa gra przyniosła kiedykolwiek jakąś szkodę komukolwiek zrównoważonemu umysłowo na Ziemi: wręcz przeciwnie. Nie ma wątpliwości, że astronautom pomogła zachować zdrowe zmysły i uwagę podczas długich, trudnych wypraw. To, że nie stosuje się już jej do celów medycznych, wynika wyłącznie z tego, że psychoterapia stała się gałęzią biochemii stosowanej.

I ten ostatni fakt, ów brak doświadczenia świata współczesnego w sprawach szaleństwa, leży u źródeł tego, co się wydarzyło. Choć dwudziestowieczny psychiatra nie mógłby przewidzieć dokładnie tego, co się stanie, mógł ostrzec przed zamknięciem ludzi na osiem lat w tak obcym środowisku, jakim był Chronos. Było ono obce bowiem mimo wszelkich wysiłków: ograniczone, całkowicie kontrolowane przez człowieka, pozbawione wszelkich wskazówek, których wykrywania na Ziemi nauczyła nas ewolucja. Do tej pory koloniści pozaziemscy mieli dostęp do licznych symulacji i kompensat, z których najważniejsze to pełny kontakt z rodzinną planetą i częste okazje do odwiedzania jej. Czas lotu do Jowisza jest długi, ale i tak dwukrotnie krótszy niż czas lotu do Saturna. Poza tym naukowcy lecący Zeusem, ponieważ byli pierwsi, mieli więcej czasu zajętego badaniami prowadzonymi po drodze, których późniejsi podróżnicy nie mieli potrzeby powtarzać; do tego czasu przestrzeń międzyplanetarna dzieląca obydwaj giganty kryła w sobie już niewiele niespodzianek.

Współcześni psychologowie byli tego świadomi. Rozumieli, że długotrwały lot najbardziej ujemnie wpłynie na osobników najinteligentniejszych, najbardziej

dynamicznych i pełnych wyobraźni - czyli tych, którzy mieli dokonać wszystkich odkryć w okolicach Saturna, dla których została przedsięwzięta owa wyprawa. Mając mniejsze doświadczenie niż ich poprzednicy w zgłębianiu tajemnic mózgowego labiryntu, nawiedzanego przez Minotaura leżącego pod każdą świadomością ludzką, psychologowie oczekiwali wyłącznie pozytywnych skutków od każdej psychodramy, jaką podejmowali członkowie wyprawy.

Minamoto

Przydziału do poszczególnych zespołów nie dokonywano przed odlotem. Rozsądek nakazywał, by dać umiejętnościom zawodowym ujawnić się i rozwinąć podczas lotu wraz z kontaktami osobistymi. Te czynniki pomogą później zdecydować, kto i jakie powinien przejść przeszkolenie. Długie współuczestnictwo w grupie grających zazwyczaj wykuwało więzy przyjaźni, pożądane, o ile kwalifikacje członków były odpowiednie.

W życiu rzeczywistym Scobie zawsze przestrzegał wszelkich zasad przyzwoitości wobec Jean Broberg. Była to kobieta atrakcyjna, ale o poglądach monogamicznych i Scobie nie chciał jej do siebie zrażać. Poza tym lubił jej męża (Tom nie brał udziału w grze; jako astronom miał dość zajęć, które radośnie zaprzętały całą jego uwagę). Grali już przez parę lat, a grupa przyjęła tyle osób, ile mogła pomieścić w opowieści, której środowisko i obsada stawały się coraz bardziej skomplikowane, zanim Scobie i Broberg nawiązali osobistą rozmowę.

Gdy rozmowa ta miała miejsce, odgrywana przez nich opowieść również nabrała charakteru intymnego i dlatego mógł to nie być przypadek, że się spotkali podczas czasu wolnego obojga. Nastąpiło to w pozbawionym grawitacji sektorze rekreacyjnym, znajdującym się na osi rotacji statku. Scobie i Broberg koziolkowali w nieważkości wykrzykując i śmiejąc się, aż ogarnęło ich przyjemne zmęczenie, po czym zdjęli skafandry i udali się pod natrysk. Przedtem nie widzieli siebie nawzajem nago; żadne z nich nie odezwało się, lecz Scobie nie ukrywał, że sprawia mu przyjemność to, co widzi, podczas gdy Broberg zaczerwieniła się i odwróciła wzrok tak taktownie, jak umiała. Później, po włożeniu ubrań, zdecydowali się na drinka przed powrotem do domu i odszukali bar.

Ponieważ zbliżała się pora nocna, byli w barze sami. Scobie nacisnął guzik zamawiając whisky, Broberg - pinot chardonnay. Gdy maszyna obsłużyła ich, zabrali drinki i poszli na galeryjkę. Usadowieni przy stole spoglądali na bezmiar Kosmosu. Lokal klubowy wbudowano w jeden ze wsporników na poziomie o ciężeniu odpowiadającym księżycowemu. Nad sobą mieli niebo, wśród którego, czuli się jak ptaki; jego zasięg nie zdawał się ani trochę bardziej ograniczony przez szeroko rozstawione pajęczynowe dźwigary niż z powodu paru przelotnych chmur. Dalej na wprost nich przeciwległe pokłady tworzyły gmatwaninę kształtów i mas, które słabe o tej porze oświetlenie przemieniało w tajemnicę. Wśród tych cieni ludzkie oko odróżniało lasy, strumyki, stawy bielejące lub połyskujące w świetle gwiazd wpadającym przez szczeliny widokowe. Na prawo i na lewo kadłub rozciągał się poza zasięg wzroku tak mroczny, że wszelkie pozostałe świecące się lampy wyglądały jak zagubione.

Powietrze w klubie było chłodne, o zapachu jaśminu, przesycone ciszą. Pod nim i wewnątrz, podprogowo, tętniły miriady impulsów statku.

- Wspaniale - rzekła cicho Jean patrząc w przestrzeń. - Cóż za niespodzianka.

- Co takiego? - spytał Scobie.

- Bywałam tu dotąd tylko podczas pory dziennej. Nie spodziewałam się, że zwykła rotacja reflektorów da tak cudowny efekt.

- No, ja bym tak nie wybrzydzał na widok dzienny. Ogromne wrażenie.

- Tak, ale... ale wtedy widać wyraźnie, że wszystko zrobił człowiek, nie ma tu nic dzikiego, nieznanego, swobodnego. Słońce przyćmiewa gwiazdy i wygląda to tak, jakby poza tą skorupą, w której jesteśmy zamknięci, nie istniał żaden wszechświat. A dziś jest tak, jakbyśmy znaleźli się w Maranoa - w królestwie, gdzie Ricia jest księżniczką, w królestwie dawnych rzeczy i dróg, dzikości, oczarowań.

- Hm, owszem, sam czasem czuję się jak w klatce - przyznał Scobie. -

Wydawało mi się na początku, że mam na całą podróż dosyć danych geologicznych do badań, ale mój program robi się wcale niezabawny.

- Ze mną też tak jest - Broberg wyprostowała się na siedzeniu, obróciła ku Scobiemu i lekko uśmiechnęła. Mrok łagodził jej rysy, przywracał im młodość. - Nie wynika z tego, że mamy prawo uważać się nad sobą. Jesteśmy tu, bezpieczni i w komforcie, dopóki nie dotrzemy do Saturna. Potem zaś nie powinno nam zabraknąć wrażeń czy materiałów, nad którymi będziemy pracować w drodze powrotnej.

- Jasne. - Scobie uniósł szklankę. - No to... skoal. Mam nadzieję, że dobrze to wymawiam.

- A skąd mam wiedzieć? Moje panięskie nazwisko brzmi: Almyer.

- Słusznie, „Broberg” to od Toma. Nie pomyślałem. Choć przyjmowanie nazwiska męża jest dziś raczej rzadko spotykane, nie?

Rozłożyła ręce.

- Mojej rodzinie powodziło się nieźle, ale byli... są to katolicy jerozolimscy. W pewnych sprawach obowiązują surowe zasady... archaiczne, można by powiedzieć. - Uniosła szklankę z winem i pociągnęła łyżek. - Och, oczywiście odeszłam z kościoła, ale pod pewnymi względami kościół nigdy mnie nie opuści.

- Rozumiem. Nie chcę być wścibski, ale, hm, to tłumaczy pewne twoje cechy, które mnie zastanawiały.

Spojrzała na niego znad krawędzi szklanki.

- Na przykład jakie?

- No, masz w sobie wiele życia, wigoru, radości, ale jesteś również... jak by to nazwać, wyjątkową domatorką. Mówiłaś mi, że do chwili małżeństwa z Tomem byłaś spokojną profesorką na Yukon University. - Scobie uśmiechnął się. - Ponieważ uprzejmie zaprosiliście mnie na waszą ostatnią rocznicę ślubu, a wiem, ile masz lat, wydedukowałem, że gdy wychodziłaś za mąż, miałaś trzydziestkę. - Nie wspomniał o prawdopodobnej możliwości, iż do tamtej pory zachowała dziewictwo. - Tym niemniej... a, nieważne. Nie chcę wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

- Ależ bardzo proszę, Colin - zachęciła go. - Od kiedy zapoznałeś mnie z poezją Burnsa, pamiętam linijkę z jednego wiersza: „Widzieć siebie tak, jak inni widzą nas!” Ponieważ wygląda na to, że trafimy na ten sam księżyc...

Scobie ostro pociągnął swoją whisky.

- A, nic takiego - odrzekł, bezwiednie zażenowany. - Jeśli chcesz wiedzieć, no to wydaje mi się, że wyszłaś za mąż za Toma nie tylko dlatego, że się zakochałaś. On już był przyjęty w skład tej wyprawy i uwzględniając twoje kwalifikacje, małżeństwo z nim dawało i tobie możliwość lotu. Krótko mówiąc, znużyła cię ta codzienna przyzwoitość i znalazłaś oto sposób, żeby zmienić drogę życiową. Mam rację?

- Tak. - Jej wzrok spoczywał na nim przez chwilę. - Jesteś bardziej spostrzegawczy, niż myślałam.

- Wcale nie. Taki tam sobie prostaczek. Ale Ricia sprawiła, że jasno zobaczyłem, iż jesteś czymś więcej niż poważną żoną, matką, uczoną... - Rozchyliła wargi. Scobie uniósł dłoń. - Nie, proszę, daj mi skończyć. Wiem, że to niegrzecznie twierdzić, że czyjaś rola jest odbiciem jego marzeń, i nie robię tego. Oczywiście, że nie masz zamiaru być awanturnicą uwielbiającą wolne życie i wolną miłość, podobnie jak ja nie wybrałbym życia spędzanego na koniu, pełnego walk z najprzeróżniejszymi wrogami. A jednak, gdybyś urodziła się i wychowała w świecie z naszej gry, pewien jestem, że bardzo przypominałabyś Ricię. I ten potencjał jest częścią ciebie, Jean. - Wypił do dna. - Jeśli powiedziałem zbyt wiele, wybac mi. Napijesz się jeszcze?

- Lepiej nie, ale nie krępuj się mną.

- Nie będę. - Wstał i wyszedł z galerii.

Kiedy wracał, spostrzegł, że przygląda mu się przez witrylowe drzwi. Uśmiechnęła się do niego, gdy siadał, nachyliła nad stołem i rzekła cicho:

- Cieszę się, że to powiedziałeś. Mogę teraz wyznać, do jakiego stopnia Kendrick ujawnia twoje skomplikowane wnętrze.

- Co takiego? - zapytał Scobie, szczerze zdziwiony. - Niemożliwe! To włóczęga mający tylko tarczę i miecz, facet, który lubi podróżować podobnie jak ja. Gdy byłem chłopakiem, też się lubiłem bić tak jak on.

- Może brakuje mu oglady, ale to szlachetny rycerz, współczujący władca, znawca sag i tradycji, koneser poezji i muzyki, trochę bard... Ricia tęskni za nim. Kiedy wróci ze swej ostatniej wyprawy?

- Właśnie wracam. Wraz z N'Kumą umknęliśmy piratom i dwa dni temu wylądowaliśmy w Havernes. Po ukryciu łupów N'Kuma chciał udać się do Beli i Kariny, i przyłączyć się do nich, cokolwiek mieliby w planach, toteż pożegnaliśmy się na jakiś czas. - Scobie i Harding niedawno poświęcili razem kilka godzin na zakończenie tej ich wspólnej przygody. Reszta grupy miała w tym czasie bardziej przyziemne zajęcia.

Oczy Broberg rozszerzyły się.

- Z Havernes na Wyspy? Ależ ja jestem w zamku Devaranda, dokładnie w połowie drogi.

- Miałem nadzieję, że tak będzie.

- Nie mogę doczekać się twojej opowieści.

- Wyruszam po zapadnięciu zmroku. Księżyc świeci jasno, a ja mam ze sobą parę luzaków, które kupiłem za kilka sztuk złota z łupów. - Kurz unosi się białymi kłębamii spod tętniących kopyt. Gdziekolwiek podkowa uderzy w odłamek krzemienia, strzelają iskry gorejące. Kendrick marszczy czoło. - Nie jesteś z... jakże się on zwie? Rudy Joran? Nie jestem mu rad.

- Odesłałam go przed miesiącem. Nabrał przekonania, że to, iż dzieli ze mną łożę, daje mu nade mną władzę. Joran był dla mnie tylko igraszką. I stoję oto samotnie na wieży Gerfalcon, spoglądając w kierunku południa, na pola zalane światłem księżycy, i myślę, jakże ci się wiedzie. Droga płynie ku mnie niczym szara rzeka. Ale czyż nie dostrzegam w oddali jeźdźca zbliżającego się galopem?

Po wielu miesiącach gry niepotrzebne były żadne obrazy na ekranie. Na tle gwiazd falują proporce rozwinięte nocnym wiatrem.

- Nadjeżdżam. Dmę w róg, by zbudzić strażników u bramy.

- O, jak dobrze pamiętam te wesole tony...

Tej samej nocy Kendrick i Ricia zostali kochankami. Doświadczeni w grze i przestrzegający jej etykiety Scobie i Broberg nie wspominali o szczegółach tego, co między nimi zaszło; nie dotykali się, zachowując jedynie przelotny kontakt wzrokowy. Ostateczne pożegnanie nastąpiło z zachowaniem wszelkich zasad przyzwoitości; w końcu była to tylko wymyślona opowieść o dwóch nie istniejących postaciach w świecie, którego nigdy nie było.

Dolne partie zbocza lodowca wznosiły się w formie tarasów o głęboko wklęsłej powierzchni; obchodzili je wzdłuż krawędzi i podziwiali znajdujące się w dole niezwykle formacje. Nazwy same cisnęły się na usta: Mroźny Ogród, Most Duchów, Tron Królowej Śniegu, a w tym czasie Kendrick wchodzi do Miasta, Ricia oczekuje go w Sali Balowej, duch Alvarlana zaś przekazuje ich słowa, i jest tak, jakby księżniczka już znajdowała się u boku swego rycerza. Niemniej jednak posuwali się naprzód ostrożnie, czujni na wszelkie oznaki niebezpieczeństwa, szczególnie kiedy zmiana w strukturze czy zabarwieniu powierzchni pod stopami zdradzała zmianę jej natury.

Ponad najwyższą półką wznosiła się skała zbyt stroma, by ją pokonać nawet przy tutejszej grawitacji - mury forteczne. Z orbity jednak załoga wykryła nie opodal wyrwę, tworzącą przełęcz bez wątpienia wyoraną przez mały meteoryt w wojnie pomiędzy bogami i czarnoksiężnikami, kiedy kamienie miotane z niebios tak straszliwe poczyniły szkody, że nikt nie ważył się na odbudowę. Była to niesamowita droga, wiodąca do góry pomiędzy szczytami migocącymi na tle rzucanego przez siebie niebieskiego mroku, gdzie niebo widoczne było tylko jako wąski pas, na którym gwiazdy, zdawało się, świeciły podwójnie jasno.

- Z pewnością przejścia strzegą strażnicy - mówi Kendrick.

- Tylko jeden - odpowiada mu w myślach duch Aharlana. - Ale jest nim smok. Jeśli zechcesz toczyć z nim bój, zamęt i ogień ściągną na ciebie wszystkich wojowników. Nie obawiaj się. Wślizgnę się do jego płomienistego mózgu i taki mu sen wysnuję, że cię nie dostrzeże.

- Król może odczuć działanie zaklęcia - mówi Ricia za jego pośrednictwem. - Skoro, Alvarlanie, i tak nie będzie cię z nami, gdy dosięgniesz ducha tej bestii, ja odszukam Króla i odwrócę jego uwagę.

Kendrick krzywi się wiedząc doskonale, jakimi sposobami chce tego dokonać. Opowiedziała mu już, jak tęskni za wolnością i swym rycerzem. Dala mu także do zrozumienia, że rozkosz zaznana z elfem większa jest niż to, co może dać człowiek. Czyżby chciała ostatni raz przed uwolnieniem...? W każdym razie Ricia i Kendrick ani razu nie przyrzekali sobie, ani nie dochowywali wierności. A już z pewnością nie czynił tego Colin Scobie. Ocknął się z uśmiechem i szedł dalej w milczeniu, które ogarnęło całą trójkę.

Dotarli na szczyt lodowej masy i spojrzeli dookoła. Scobie gwizdnął, Garcilaso jęknął „Jezus Maria”, Broberg zaś klasnęła w dłonie.

Pod nimi przepaść opadała ku krawędziom, które przybrały całkowicie nową, przeraźliwą formę, blask i cień, kończącą się na równinie. Oglądana z góry krzywizna lapetusa sprawiała, że palce u stóp zakrzywiały się wewnątrz butów, jakby chcąc się dobrze trzymać i nie dać się cisnąć w gwiazdy otaczające raczej, a nie świecące z góry na tę kulkę. Statek kosmiczny stał niczym samotny grobowiec, drobinka na tle ciemnego, podziobanego meteorytami kamienia.

Na wschodzie lód sięgał poza horyzont, znacznie tu bliższy.

- Tam mógłby być kraniec świata - rzekł Garcilaso, a Ricia odpowiada: - O, tak, do Miasta jest już stąd niedaleko.

Misy różnych kształtów, pagórki, skały, jedno niepodobne do drugiego w wyrytym erozją kształcie, przemieniały tę równą skażyną płaszczyznę w nierealny labirynt. Nad horyzontem dominowały ażurowe arabeski grzbietu, który był ich celem. Wszystko, co stało w świetle, jaśniało delikatnym blaskiem. Słońce, choć tak promieniste, rzucało światło równe blaskowi może pięciu tysięcy pełni ziemskiego Księżyca. Od południa wielki półokrąg Saturna dodawał jeszcze pół światłości Luny. Ale blask dochodzący z tego kierunku barwił dziki krajobraz na kolor bursztynowy.

Scobie otrząsnął się.

- No to co, idziemy? - Jego prozaiczne pytanie wstrząsnęło pozostałą dwójką. Garcilaso zmarszczył czoło, Broberg zaś skrzywiła się. Odzyskała jednak równowagę.

- O, tak, śpiesz się - mówi Ricia. - Jestem znowu sama. Czy opuściłeś już smoka, Alvarlanie?

- Zaiste - powiada jej czarodziej. - Kendrick jest już bezpieczny za zburzonym pałacem. Powiedz nam, jak najlepiej do ciebie dotrzeć.

- Stoisz u dotkniętego zębem czasu Domu Królewskiego. Przed tobą leży Ulica Płatnerzy...

Brwi Scobiego ściągnęły się.

- Jest południe, kiedy elfy nie wychodzą z domu - przypomina Kendrick rozkazującym tonem. - Nie zamierzam natknąć się na żadnego z nich. Żadnych walk, żadnych -komplikacji. Mamy cię uwolnić i uciec bez dalszych kłopotów.

Broberg i Garcilaso okazali rozczarowanie, ale zrozumieli, co Scobie ma na myśli. Zdarzyło się już, że jakiś zespół musiał przerwać grę, gdy jeden z graczy odmówił przyjęcia czegoś, co drugi wprowadził. Czasem przez wiele dni niektóre wątki opowieści pozostawały przerwane i nie podejmowano ich na nowo. Broberg westchnęła.

- Idź ulicą, która kończy się placem, z fontanną - objaśnia Ricia. - Przejdź przez plac i idź dalej bulwarem A-Z. Poznasz go po prowadzącej doń bramie w kształcie czaszki z rozwartymi szczękami. Jeśli zobaczysz gdzieś tęczyowy błysk w powietrzu, stój bez ruchu, aż przeleci: będzie to bowiem zorza drapieżna...

W podskokach charakterystycznych dla małego ciężenia pokonali tę odległość mniej więcej w pół godziny. Pod koniec musieli okrążyć wielkie hałdy lodu tak drobnoziarnistego, że usuwał się spod stóp i próbował ich pochłonać. Cel ich otaczało kilka takich hałd, leżących w nieregularnych odstępach.

Tutaj podróżnicy zatrzymali się ponownie na jakiś .czas, zdjęci podziwem graniczącym z przerażeniem.

Znajdujące się u ich stóp wgłębienie musiało sięgać aż do podłoża skalnego, na głębokość około stu metrów, a szerokość dwukrotnie większą. Na jego krawędzi unosiła się ściana, którą widzieli z nawisu: szeroki i wysoki na pięćdziesiąt metrów łuk, o grubości nie większej w żadnym miejscu niż pięć metrów, przerywany misternymi zawijasami, łagodnie połyskujący tam, gdzie nie był przezroczysty. Był to górny skraj warstwy, która zagłębiła się do wnętrza krateru. Inne występy i zagłębienia były jeszcze bardziej zjawiskowe... czyż to nie głowa jednorożca, a tamto - nie kolumnada kariatyd, a jeszcze dalej - altana z lodowych sopli? Otchłań wyglądała zaś jak jezioro zimnego, niebieskiego cienia.

- Przyszedłeś, Kendrick, ukochany! - woła Ricia i rzuca mu się w ramiona.

- Ciszej - ostrzega głos Aharlana Mądrego. - Nie zbudźcie naszych odwiecznych wrogów.

- Tak, musimy wracać - Scobie zamrugał oczami. - Na Judasza, co też nas opętało? Rozumiem: zabawa, ale poszliśmy o wiele dalej i szybciej, niż to było rozsądne, prawda?

- Zostańmy jeszcze chwilę - prosiła Broberg. - Tu jest tak cudownie... Sala Balowa Króla Elfów, którą dla niego zbudował Władca Tańca...

- Pamiętajcie: jeśli się zatrzymamy, znajdziemy się w matni i na zawsze pozostaniemy w niewoli. - Scobie nacisnął kciukiem główny wyłącznik radia. - Halo, Mark! Słyszysz mnie?

Ani Broberg, ani Garcilaso nie poszli w ślady Scobiego. Nie usłyszeli słów Danziga:

- O, tak! Siedziałem nad radiostacją gryząc paznokcie. Nic wam się nie stało?

- Wszystko w porządku. Jesteśmy przy wielkim otworze i wracamy, tylko zrobię parę zdjęć.

- Nie wymyślono jeszcze odpowiednich słów, które wyraziłyby, jalc bardzo mi ulżyło. A z naukowego punktu widzenia warto było ryzykować?

Scobie wydał cichy okrzyk. Wytrzeszczył przed siebie oczy.

- Colin? - zawołał Danzig. - Jesteś tam jeszcze?

- Tak. Tak.

- Pytałem, czy zrobiliście jakieś ważne obserwacje.

- Nie wiem - wymamrotał Scobie. - Nie pamiętam. Nic z tego, co widzieliśmy po rozpoczęciu wspinaczki, nie wydaje się rzeczywiste.

- Lepiej już wracajcie - poradził ponuro Danzig. - Daj sobie spokój ze zdjęciami.

- Słusznie. Naprzód marsz! - Scobie zwrócił się do swych towarzyszy.

- Nie mogę - odpowiada Aharlan. - Błędne zakłęcie oplotło moją duszę dymnymi mackami.

- Wiem, gdzie znajduje się sztylet ognisty - mówi Ricia. - Spróbuję go wykraść.

Broberg ruszyła przed siebie, jakby chcąc zejść w głąb krateru. Spod podeszew jej butów posypały się drobne ziarenka lodu. Łatwo mogła stracić oparcie i ześliznąć się w dół.

- Nie, zaczekaj! - krzyczy do niej Kendrick. - Nie rna potrzeby. Ostrze mojej włóczni jest ze stopu księżycowego. Może przeciąć...

Lodowiec zadygotał. Krawędź pękła i usunęła się w dół. Część, na której stali, oderwała się i potoczyła w głąb misy. Za nią pomknęła lawina. Wyrzucone w górę kryształy pochwyliły światło słoneczne, zabłysły rozszczepionym blaskiem, wyzywając gwiazdy na świetlny pojedynek, następnie powoli opadły i znieruchomiały.

Nie licząc fali sejsmicznej, przechodzącej przez ciała stałe, wszystko stało się w absolutnej ciszy Kosmosu.

Powoli, z każdym nowym uderzeniem serca, Scobie powracał do zmysłów. Stwierdził, że jest uwięziony, obezwładniony w ciemnościach i bólu. Skafander uratował i nadal ratował mu życie. Został ogłuszony, ale uniknął poważniejszych obrażeń. Jednak każdy oddech sprawiał mu nieznośny ból. Wyglądało na to, że ma złamane żebro lub dwa w lewym boku; potworne uderzenie musiało wgąć metal skafandra. A uwolnienie się spod masy lodu przekraczało jego siły.

- Halo - wykrztusił. - Czy ktoś mnie słyszy? - Jedyłą odpowiedzią było tętno jego krwi. Jeśli radio nadal pracowało - a powinno, skoro wbudowane zostało w skafander - otaczająca go masa ekranowała fale.

Niezależnie od tego wysysała z niego ciepło w nieznanym, ale przerażającym tempie. Zimna nie odczuwał, układ elektryczny skafandra czerpał bowiem energię z baterii tak szybko, jak było trzeba, by utrzymać go w ciepłe i oczyszczać chemicznie powietrze. Normalnie tracił ciepło w czasie powolnego procesu radiacji - i niewielką ilość poprzez podeszwy butów pokryte pianką winylową - ale teraz wydatkowanie było znacznie większe. Obecnie ciepło uciekało każdym centymetrem kwadratowym skafandra. W wyposażeniu na plecach miał zapasową baterię, ale nie mógł się do niej dostać.

Chyba że... Chrapliwie zachichotał. Napinając mięśnie poczuł, że otaczający go lód nieco ustępuje pod naciskiem nóg i ramion. A jego hełm tętnił lekko szumem, bulgotem. Nie wodny lód go więc uwięził, ale coś o znacznie niższej temperaturze zamarzania. Topiło ten lód, powodowało sublimację, robiąc sobie miejsce.

Jeśli będzie leżał nieruchomo, osunie się głębiej, a zamarzanie nad nim przesunie się w dół i zamknie go w lodowym grobie. Może spowoduje powstanie nowych, wspaniałych formacji, ale sam ich nie zobaczy. Musi więc wykorzystać tę niewielką możliwość, która mu pozostała, by przesuwać się w górę, drapać się, zdobywać zaczepienie o substancje, które jeszcze się nie stopiły, wygrzebywać się do gwiazd.

Zaczął.

Wkrótce targnął nim ból, oddech rwał się wychodząc i wchodząc do płonących płuc; siły opuszczały go, ustępując miejsca drzeniu i nie mógł już stwierdzić, czy się wznosi, czy też może osuwa się w głąb. Oślepiiony, na wpół uduszony, Scobie zakrzywił palce na kształt krecich łan, i kopał.

Cierpienie stało się nie do zniesienia. Uciekł od niego...

Gdy potężne zaklęcia zawiodły, Król Elfów zburzył swe straszliwe wieże. Jeśli duch Alvarlana powróciłby do jego ciała, czarodziej będzie rozważał to, co widział, i zrozumie, co to oznacza, a owa wiedza da śmiertelnym potężną moc przeciwko Krainie Elfów. Zbudziwszy się, Król ujrzał w szklanej kuli, jak Kendrick już nieomal wypełnił to, co zamierzał. Brakło czasu na coś więcej poza zdjęciem uroku utrzymującego mury Sali Balowej. Zbudowano je głównie z mgieł i światła gwiazd, ale też i z odpowiedniej ilości kamiennych bloków wykutych po chłodnej stronie Ginnungagap, by padając na ziemię mogły zmiażdżyć rycerza. Ricia też zginie; lotny umysł Króla natychmiast pożałował tego. Niemniej jednak właściwe słowa zostały wypowiedziane.

Król nie pojmował, ile mąk potrafi znieść ciało i kość człowieka. Pan Kendrick oswobodzą się z rumowiska, by odszukać i uratować swą damę. Nim do tego dojdzie, pokrzepia się myślami o swych przygodach w przeszłości i tych, które dopiero nadejdą...

...i nagle ślepotą ustąpiła, a przed oczyma pojawił się Saturn otoczony pierścieniami.

Scobie padł przodem na powierzchnię lodu i leżał dygocąc. Musi się podnieść mimo protestu obolałego ciała, jeśli nie chce wytopić sobie następnego grobu. Chwiejąc się wstał i potoczył wzrokiem dookoła.

Z dotychczasowych struktur pozostały jedynie niewielkie występy i pęknięcia. Prawie na całej swej powierzchni krater jaśniał gładką bielą. Brak cieni powodował, że trudno było ocenić jego głębokość, ale według Scobiego wynosiła ona około siedemdziesięciu pięciu metrów. I pustka, całkowita pustka.

- Mark, słyszysz mnie? - zawołał.

- To ty, Colin? - zadźwięczało w słuchawkach. - Co się stało, na litość?

Usłyszałem twój okrzyk, a potem zobaczyłem, jak chmura się unosi i opada... i nic więcej przez ponad godzinę. Nic ci się nie stało?

- Raczej nie. Nie widzę ani Jean, ani Luisa. Zaskoczyła nas lawina, która nas przykryła. Zaczekaj, poszukam ich.

Gdy Scobie stał wyprostowany, żebra mniej go bolały. Zachowując ostrożność, mógł się poruszać całkiem swobodnie. W zestawie aptecznym miał dwa rodzaje środków znieczulających, oba równie nieprzydatne, jeden bowiem był /był słaby, by dać zauważalną ulgę, drugi zaś tak mocny, że zupełnie by go oszołomił. Chodząc w różne strony wkrótce znalazł to, czego szukał: lekkie zagłębienie w naniesionym niby-śniegu, skąd wydobywały się pęcherzyki, jakby coś się pod spodem gotowało.

Obowiązkowe wyposażenie obejmowało również łopatkę saperską. Scobie zaczął kopać, nie zważając na ból. Wkrótce odsłonił helm; w środku zobaczył głowę Broberg. Ona też się starała odgrzebać.

- Jean!

- Kendrick! - Oswobodziła się do końca i przywarli do siebie poprzez skafandry. - Och, Colin...

- Jak się czujesz? - zdołał wydobyć z siebie.

- Żyję - odparła. - Żadnych poważniejszych obrażeń, tak mi się wydaje. To tylko dzięki małej grawitacji... - A ty? A Luis? - Pod nosem miała strużkę zakrzepłej krwi, a ślad uderzenia na czole nabierał barwy purpurowej, ale stała pewnie i mówiła wyraźnie.

- Mogę się poruszać. Luisa jeszcze nie znalazłem. Pomóż mi szukać. Najpierw jednak sprawdzimy nasz sprzęt.

Otuliła się ramionami, jakby to mogło w czymś pomóc.

- Zimno mi - przyznała.

Scobie wskazał światelko alarmowe.

- Nic dziwnego. Twojej baterii zostało tylko kilka ergów; moja też zresztą nie jest w lepszym stanie. Zmieniajmy.

Nie tracili czasu na zdejmowanie plecaków, ale wyjęli nowe ogniwa sobie nawzajem. Odrzuciwszy zużyte na powierzchnię lodu, która natychmiast zagłębiła się pod nimi parując, po czym z powrotem zamarzała, włączyli nowe baterie do układów swoich skafandrów.

- Przykręć trochę termostat - poradził Scobie. - Nieprędko znajdziemy schronienie. W ruchu nie zmarzniemy.

- Ale za to potrzebna będzie szybsza regeneracja powietrza - przypomniała Broberg.

- Owszem. Ale przynajmniej na razie możemy trochę oszczędzić baterii. No dobrze, szukajmy teraz w skafandrach jakichś naprężeń, miejsc, gdzie może nastąpić przebicie, wszelkich uszkodzeń i utraconego sprzętu. I szybko, Luis nadal jest pod spodem.

Po tylu latach szkolenia przegląd wykonali automatycznie. Gdy palce Jean sprawdzały skafander Colina, oczy jej błędziły po okolicy.

- Sala Balowa nie istnieje - szeptce Ricia. - Sądzę, że Król zniszczył ją, by zapobiec naszej ucieczce.

- Ja też tak sądzą. Jeśli pozna, że nie zginęliśmy i szukamy ducha Alvarlana... Hej, stop! Przestań z tym!

Głos Danziga drżał.

- Co z wami?

- Wygląda na to, że nie jest źle - odparł Scobie. - Mój pancerz nieco dostał, ale nie pękł czy coś w tym rodzaju. Teraz musimy znaleźć Luisa... Jean, ty może zataczaj kręgi w prawo od dna krateru, a ja pójdę w lewo.

Odszukiwanie Garcilasa zajęło trochę czasu, bulgotanie bowiem dobywające się z miejsca, gdzie leżał zagrzebany, było minimalne. Scobie zaczął kopać. Jean popatrzyła, jak się porusza, posłuchała, jak oddycha i w końcu rzekła:

- Daj mi tę łopatkę. A w ogóle co cię boli?

Scobie przyznał się do złamanych żeber i odsunął się od otworu. Broberg zaczęła wyrzucać lód całymi bryłami. Praca posuwała się szybko, lód bowiem w tym miejscu składał się na szczęście z czegoś kruchego, a w ciężeniu panującym na lapetusie można było wyciąć otwór o ścianach niemal pionowych.

- Spróbuję się przydać - rzekł Scobie - i poszukam drogi wyjścia.

Kiedy ruszył pod górę najbliższym stokiem, grunt zadrżał. Natychmiast odrzuciła go w tył zsuwająca się masa lodu, która szeleściła na pancerzu skafandra, podczas gdy hełm oblepiła chmura białego pyłu. Zaciskając z bólu zęby uwolnił się na dnie krateru i spróbował w innym miejscu. W końcu mógł tylko tyle przekazać Danzigowi:

- Niestety, nie ma łatwej drogi odwrotu. Kiedy krawędź zapadła się w miejscu, w którym staliśmy, skutki nie ograniczyły się tylko do wstrząsu, który zniszczył delikatne struktury wewnątrz krateru. Poza tym zwałił jeszcze na jego dno tony lodu - dziwnego lodu, który w tutejszych warunkach zachowuje się jak drobny piasek. Ściany krateru są nim całkowicie pokryte. Prawie wszędzie leży jego wielometrowa warstwa na bardziej stabilnym podłożu. Tam, gdzie warstwa jest cieńsza, zsuwalibyśmy się szybciej, niż potrafilibyśmy się wspinać; gdzie jest grubsza, po prostu zapadlibyśmy się. Danzig westchnął.

- Zdaje się, że czeka mnie miły spacer dla zdrowia.

- Mam nadzieję, że wezwalesz pomoc.

- Oczywiście. Dwie szalupy przybędą tu za mniej więcej sto godzin. To najprędzej, jak można. Wiedzieliśmy o tym.

- Mhm. A nasze baterie wystarczą tylko na pięćdziesiąt.

- O, z tym nie ma zmartwienia. Wezmę ze sobą zapasowe i zrzucę je wam, jeśli będziecie musieli tam siedzieć, dopóki nie przybędzie pomoc. Hmmm...

Lepiej będzie, jak zrobię procę czy coś.

- Możesz mieć trudności z odnalezieniem nas. To nie jest zwykły krater, ale potężny kocioł erozyjny, którego wlot jest na poziomie lodowca. Ta wymyślna struktura na krawędzi, która służyła nam za drogowskaz, już nie istnieje.

- Mamy kłopot. Pamiętaj, że mam na was zamiar poprzez antenę kierunkową. Kompas magnetyczny może być tu nieprzydatny, ale umiem się orientować za pomocą nieba. Saturn ledwie się po nim przesuwają, podobnie jak Słońce i gwiazdy.

- Cholera! Masz rację, zupełnie o tym nie pomyślałem. Mam w głowie tylko Luisa, co mnie choć trochę tłumaczy. - Scobie spojrział poprzez półmrok ku Broberg. Pochylona nad miejscem, w którym kopała, stała, zmuszona do krótkiego odpoczynku. W słuchawkach usłyszał jej chrapliwy oddech.

Musi oszczędzać siły, które mu jeszcze pozostały, na później. Napił się wody z rurki, wsunął kęs jedzenia przez zawór w hełmie, markując apetyt.

- Spróbuję odtworzyć, co zaszło - powiedział. - Masz rację, Mark, zachowaliśmy się nierozsądnie, jak szaleńcy. Gra... Osiem lat gry to za długo jak na otoczenie, które tak pialo przypominało nam o rzeczywistości. Ale kto mógł to przewidzieć? Boże mój, wyślij ostrzeżenie do Chronosa! Przypadkiem wiem, że jedna z grup wysyłanych na Tytana jeszcze przed startem zaczęła celowo, tak jak my, grę w wyprawę do wodnej krainy pod Oceanem Karmazynowym – a to z powodu czerwonych mgieł na Tytanie...

Scobie przelknął ślinę.

- No więc - mówił z trudem dalej - nie wiem, czy kiedykolwiek dokładnie się dowiemy, co tu zaszło. Jest jednak oczywiste, że konfiguracja terenu była ledwie metastabilna. Także i na Ziemi niezmiernie łatwo czasem spowodować lawinę. Stawiałbym na to, że tu pod powierzchnią znajduje się warstwa metanowa. Gdy po wschodzie słońca temperatura się podniosła, metan zaczął się topić, co nie

miałoby większego znaczenia przy malej grawitacji i w próżni... ale przyszliśmy my. Ciepło, wibracja - w każdym razie owa warstwa wyśliznęła się spod nas, co spowodowało ogólny zawał. Czy ta hipoteza wydaje ci się prawdopodobna?

- Tak, amatorowi takiemu jak ja - odrzekł Danzig. - Podziwiam, że w tych warunkach zachowujesz akademicki spokój.

- Jestem po prostu praktyczny - odciął się Scobie. - Luisowi może być potrzebna pomoc lekarska wcześniej, niż gdy przylecą po niego te dwie szalupy, Jeśli tak, to jak dostarczymy go do naszej?

Głos Danziga zeszywniał.

- Co proponujesz?

- Właśnie dochodzę do tego. Zwróć uwagę: misa ma nadal w zasadzie ten sam kształt. Oznacza to, że nie cała rupieciarnia się zawałiła i że gdzieś powinien być twardy materiał, lód wodny i właściwa skała. Prawdę mówiąc, widzę kilka występów, które się ostały: wychodzą ponad tę piaskopodobną substancję. Czym ona jest naprawdę - może mieszaniną amoniaku i dwutlenku węgla, czy może czymś bardziej egzotycznym - przyjdzie czas zbadać później. Teraz zaś... moje przyrządy geologiczne powinny pomóc wysledzić, gdzie twardsza warstwa leży najbliżej powierzchni. Wszyscy oczywiście mamy saperki. Możemy spróbować oczyścić sobie drogę zygzakami, tam gdzie najłatwiej. Nie ulega wątpliwości, że w ten sposób zwalimy sobie kolejną lawinę z góry, ale to z kolei przyspieszy nasze posuwanie się naprzód. Tam gdzie odkopane półki okażą się zbyt strome lub śliskie, by można się było na nie wspiąć, możemy wykuć stopnie. Będzie to praca ciężka i powolna; możemy też natrafić na stromiznę, której nie uda się pokonać albo coś w tym rodzaju.

- Mogę pomóc - zaproponował Danzig. - Przez tę godzinę, kiedy się nie odzywaliście, przejrzałem nasze zapasy kabla, lin, sprzętu, który mogę poświęcić, by wyjąć ze środka drut, a także ubrań i pościeli, które można podrzeć na pasy - wszystko, co da się związać w linę. Nie musi to być zbyt wytrzymałe. Oceniam, że będzie tego ze czterdzieści metrów. Według twoich słów sięgnie gdzieś do połowy wysokości ścian krateru, w którym jesteście uwięzieni. Jeśli zdołacie pokonać pozostały odcinek, będę mógł was Wyciągnąć.

- Dzięki - rzekł Scobie - chociaż...

- Luis! - zaskrzeczało w słuchawkach. - Colin, chodź prędko, pomóż mi, to straszne!

Nie zwracając uwagi na ból, jeśli nie liczyć paru przekleństw, Scobie pośpieszył z pomocą do Jean Broberg.

Garcilaso był tylko częściowo nieprzytomny i na tym głównie polegała groza sytuacji. Słyszał było jego mamrotanie:

- ...Do diabła, Król cisnął moją duszę do piekła, nie potrafię odnaleźć wyjścia, zginąłem, dlaczego w piekle jest tak zimno?...

Nie widzieli jego twarzy; hełm zamarł od środka. Dłużej i głębiej zagrzebany niż oni oboje, a poza tym ciężiej kontuzjowany, umarłby natychmiast po wyczerpaniu się baterii. Broberg odkopała go prawie w ostatniej chwili - jeśli już nie było za późno.

Zgięta w pół w szybie, który wykopała, przekręciła Luisa na brzuch. Zatrzepotał ramionami i monotonicznie majaczył:

- Demon mnie atakuje, jestem oślepiony, ale czuje powiew skrzydeł.

Odłączyła baterię i cisnęła ją na powierzchnię ze słowami:

- Jeśli się uda, powinniśmy zanieść ją na statek.

Często się zdarza, że człowiek trzyma się rzeczywistości tylko dzięki drobiazgom.

Na górze Scobie przyjrzał się ponuro baterii. Nie zostało w niej nawet tyle ciepła, by wywołać parowanie, jak to się stało w przypadku ich zużytych ogniwi. Leżała na lodzie całkiem nieruchomo. Obudową jej była metalowa kasetka, o wymiarach trzydziści na piętnaście, na sześć centymetrów, całkowicie gładka poza dwoma bolcami kontaktowymi na jednej z szerokich ścianek. Regulatory wbudowane w obwody skafandra pozwalały na ręczne sterowanie reakcją chemiczną wewnątrz baterii, ale zwykle pozostawiało się ten obowiązek termostatowi i aerostatowi. Teraz zaś reakcja dobiegła końca. Do czasu naładowania bateria była po prostu kawałkiem złomu.

Scobie pochylił się, obserwując poczynania Broberg w dole o głębokości około dziesięciu metrów. Z ekwipunku Garcilasa wyjęła zapasową baterię, wstawiła na odpowiednie miejsce skafandra na wysokości lędźwi i przymocowała zatrzaskami do spodniej części stelaża.

- Daj drut, Colin - powiedziała.

Scobie zrzucił jej metr grubego kabla, który należał do stałego wyposażenia przy wychodzeniu poza statek, na wypadek gdyby trzeba było zrobić jakieś specjalne połączenie elektryczne lub dokonać naprawy. Broberg splotła go z dwoma pozostałymi - jej i Garcilasa - zrobiła pętlę na jednym końcu, drugi zaś doczepiła u góry własnego stelaża, z trudnością manipulując ponad lewym ramieniem. Potrójny kabel stanął pionowo niczym antena.

Pochyliwszy się wzięła Garcilasa na rękę. Na lapetusie ważył wraz ze sprzętem mniej niż dziesięć kilogramów; podobnie jak ona. Teoretycznie powinna móc wyskoczyć od razu z otworu wraz z obciążeniem. W praktyce skafander zbyt krępował ruchy: półsztywne stawy pozwalały co prawda na znaczną swobodę ruchów, ale nie taką, jak goła skóra, szczególnie biorąc pod uwagę, że temperatura na księżycach Saturna wymagała dodatkowej izolacji. Poza tym, gdyby Broberg nawet doskoczyła do brzegu dołu, nie utrzymałaby się: miękki lód usunąłby się spod palców i stoczyłaby się z powrotem w dół.

- No to skocz - powiedziała. - Lepiej postaraj się złapać mnie za pierwszym razem, Colin. Nie wydaje mi się, by Luis mógł znieść wiele wstrząsów.

- Kendrick, Ricia, gdzie jesteście? - jęknął Garcilaso. - Czy też wtrącono was do piekła?

Scobie zaparł się obcasami o grunt w pobliżu krawędzi otworu i przykucnął w gotowości. Ujrzał unoszącą się pętlę z kabla; schwycił ją prawą dłonią. Rzucił się w tył, by nie dać się ściągnąć do otworu, i poczuł, że złapany ciężar gdzieś się zaklinował. Ból przeszył mu klatkę piersiową. Udało mu się jakoś wyciągnąć uczeponych na bezpieczną odległość, nim zemdlął.

Ocknął się po chwili.

- Nic mi nie jest - wychrypiał w odpowiedzi na niespokojne pytania Broberg i Danziga. - Dajcie mi tylko odetchnąć.

Jean skinęła głową i uklękła, by zająć się pilotem. Odpięła mu stelaż ze sprzętem, by mógł leżeć na wznak, z nogami i głową utrzymywanymi w górze przez pojemniki. To zapobiegnie znacznym stratom ciepła w wyniku konwekcji i zmniejszy te, które wynikają z odpływu do gruntu. Tym niemniej jego bateria będzie się wylądowywać znacznie szybciej, niż gdyby mógł stanąć na nogi, a i tak po pierwsze musi wyrównać straszny deficyt energetyczny.

- Topi mu się lód w helmie - poinformowała. - Matko Boska, krew! Wydaje się jednak, że pochodzi ze skóry głowy i już nie leci. Musiał uderzyć potylicą w witryl. Powinniśmy nosić miękkie czapki w tych helmach. Tak, wiem, że nic podobnego się dotąd nie wydarzyło, ale... - Odpięła od pasa latarkę, pochyliła się i skierowała światło w dół. - Oczy ma otwarte. Żrenice... tak, silne uderzenie i możliwe pęknięcie czaszki z krwotokiem do wewnątrz mózgu. Dziwię się, że nie wymiotuje. Czyżby to w wyniku zimna? Może wkrótce zaczną się wymioty? Może się nimi zakrztusić, tam w środku, i nikt nie będzie w stanie mu pomóc.

Ból dręczący Scobiego osłabł do znośnego natężenia. Podniósł się, podszedł, spojrział i gwizdnął.

- Sądzę, że może nie przeżyć, jeśli go szybko nie dostarczymy do łodzi i nie zajmiemy się nim odpowiednio. Co nie jest możliwe.

- Och, Luis. - Łzy potoczyły się po policzkach Jean.

- Myślisz, że nie dożyje do chwili, gdy przyniosę tę linę i będziemy mogli go zanieść do statku? - zapytał Danzig.

- Boję się, że nie - odparł Scobie. - Przechodziłem kurs paramedyczny, a zresztą na własne oczy, widziałem podobny przypadek. A ty skąd znasz objawy, Jean?

- Dużo czytam - powiedziała tępo.

- Płaczą, łkają umarłe dzieci - mamrotał Garcilaso.

Danzig westchnął.

- Dobrze więc, przylecę do was.

- Co takiego? - wybuchnął Scobie, a Broberg krzyknęła:

- Czy ty też postradałeś zmysły?

- Nie, słuchajcie - Danzig zaczął szybko mówić: - nie jestem wykwalifikowanym pilotem, ale miałem to samo podstawowe przeszkolenie na tego rodzaju statkach, jak wszyscy, którzy mogą nimi latać. Statek można poświęcić, zabiorą nas szalupy ratunkowe. Gdybym wylądował przy krawędzi lodowca, nie dałoby to wiele - w dalszym ciągu musiałbym robić linę i tak dalej - aż tego, co stało się z sondą, wiemy, że ryzyko byłoby znaczne. Lepiej wleczę prosto do waszego krateru.

- Lądowanie na powierzchni, którą płomienie z dysz natychmiast spod ciebie odparują? - parsknął Scobie. - Założę się, że nawet Luis uznałby to za wyczyn kaskaderski. A ty, mój drogi, rozwalisz się jak nic.

- No? - niemal widzieli wzruszenie jego ramion. - Upadek z niewielkiej wysokości, przy tym ciężeniu może najwyżej lekko mną potrząsnąć. Ogień odrzutu wypali otwór aż do skały. To prawda, że otaczający lód natychmiast zapadnie się wokół kadłuba i uwięzi go. Może będziecie musieli dokopać się do

śluzy, choć podejrzewam, że promieniowanie cieplne kabiny nie pozwoli na zakrycie górnej części statku. Nawet jeśli statek przewróci się i uderzy bokiem - a w takim przypadku zagłębi się jakby w opadającej poduszce powietrznej - nawet gdyby stało się to na litej skale, nie powinien doznać poważniejszych uszkodzeń. Zaprojektowano go tak, by wytrzymał silniejsze uderzenia. - Danzig zawahał się. - Oczywiście istnieje możliwość, że narażę was na niebezpieczeństwo. Jestem pewien, że was nie spalę odrzutem, zakładając, że wyląduję w pobliżu środka, a wy odejdziecie na taką odległość, jak tylko będzie można. Możliwe jednak... możliwe, że spowoduję jakiś wstrząs, który was zabije. Nie ma sensu, by jeszcze dwie osoby miały stracić życie.

- Albo trzy, Mark - powiedziała cicho Broberg. - Pomimo twych odważnych słów sam również możesz się narazić na śmierć.

- Och, ja jestem starym człowiekiem. Owszem, kocham życie, ale wy macie jeszcze tyle lat przed sobą. Słuchajcie, przypuśćmy najgorsze: przypuśćmy, że nie tylko fatalnie wyląduję, ale całkowicie rozwalę statek. Wtedy Luis umrze, ale to by go i tak czekało. Natomiast wy dwoje zyskacie dostęp do zapasów na pokładzie, wliczając w to zapasowe baterie. Według mnie ryzykuję niewiele, a mogę dać Luisowi szansę przeżycia.

- Hmmm - odezwał się Scobie głęboko, gardłowo. Ręką bezwiednie sięgnął do podbródka, podczas gdy jego wzrok błędził po skrzęcej się powierzchni krateru.

- Powtarzam - mówił dalej Danzig - że jeśli waszym zdaniem mogłoby to wam w jakikolwiek sposób zagrozić, dajemy sobie spokój. Żadnej bohaterstwu, proszę. Luis z pewnością przyznałby tu rację: lepiej, by zginęła jedna osoba, a przeżyło troje, niż by czworo stanęło przed poważną możliwością śmierci.

- Daj mi pomyśleć. - Scobie milczał przez dłuższą chwilę, nim się znowu odezwał: - Nie, moim zdaniem nic się tutaj nie stanie. Jak wcześniej powiedziałem, tutejsza lawina już zesłała i konfiguracja powinna być raczej stabilna. Lód się ulotni, to prawda. W przypadku warstw o niskiej temperaturze wrzenia może to następować wybuchowo i powodować wstrząsy. Para jednak będzie odprowadzać ciepło tak szybko, że tylko te partie lodu, które będą najbliżej ciebie, powinny zmieniać swój stan. Przypuszczam, że lód drobnoziarnisty zostanie strząśnięty ze stoków, ale ma zbyt małą gęstość, by mógł poczynić jakieś znacznie większe szkody. W zasadzie powinien się zachować jak przelotna burza śnieżna. Podłoże ulegnie oczywiście zmianom, które mogą być dość gwałtowne. Jednakże my znajdziemy się wyżej. Czy widzisz, Jean, tę skalną półkę tam, na wysokości, do której można podskoczyć? Musi to być część zasypanego pagórka, a w każdym razie to lita skała. Tam będziemy czekać... dobrze, Mark, jeśli o nas chodzi, możesz lecieć. Nie mam absolutnej pewności, ale kto może ją mieć w jakiegokolwiek sprawie? Wydaje się jednak, że ryzyko jest do przyjęcia.

- Czy czegoś nie przeoczyliśmy? - zastanawiała się Broberg. Spojrzała w dół na tego, który leżał u jej stóp. - Podczas gdy my byśmy się zastanawiali nad wszystkimi możliwościami, Luis by umarł. Tak, leć, jeśli chcesz, Mark, i niech cię Bóg błogosławi.

Kiedy jednak razem ze Scobiem przeniosła Luisa na półkę, wskazała dłonią Saturna, a potem Gwiazdę Polarną i...

- Wyśpiewam zaklęcia, rzućę ten niewielki czar, jaki znam, na wsparcie Władcy Smoków, by wydobył duszę Alvarlana z piekła - mówi Ricia.

Rozdział 4

Żadna rozsądna osoba nie może winić jakiegokolwiek badacza międzyplanetarnego za błędną ocenę otoczenia, szczególnie kiedy trzeba podjąć jakąś decyzję w pośpiechu i w warunkach stresu. Pewne pomyłki są nie do uniknięcia. Gdybyśmy dokładnie wiedzieli, czego się spodziewać w całym Układzie Słonecznym, nie byłoby powodu go badać.

Minamoto

Statek uniósł się, odrzucając ogniem z dysz chmury kosmicznego pyłu. Po wzniesieniu się na wysokość stu pięćdziesięciu metrów ciąg zmniejszył się i pojazd stanął na słupie ognia.

Wewnątrz kabiny słychać było niewielki hałas: głuchy syk i przesywający kości, ale prawie niesłyszalny loskot. Pot wystąpił na twarzy Danziga, zrosił jego sterczący zarost, przemoczył kombinezon, aż zaczął cuchnąć. Miał oto podjąć manewr równie niebezpieczny jak dokowanie, ale przy tym bez naprowadzania.

Delikatnie przesunął naprzód przepustnicę. Obudziła się boczna dysza. Statek runął do przodu, łukiem przechodząc w lot nurkowy. Ręce Danziga zatańczyły na konsoli. Musi skorelować siły, które utrzymywały statek w górze, z tymi, które pchały go poziomo, aby wypadkowa poniosła go w kierunku wschodnim, w tempie powolnym i stałym. Wektor będzie się stale zmieniał, tak jak to się dzieje, gdy człowiek idzie. Komputer kontrolny, połączony z czujnikami, w znacznej części pomagał w balansowaniu, ale niecałkowicie. Trzeba mu było przekazać, co się chce osiągnąć.

Ze statkiem obchodził się Danzig niezbyt fachowo; wiedział, że tak będzie. Gdyby uniósł się wyżej, miałby większy margines błędu, ale pozbawiłby się punktów odniesienia, które jego oczy odnalazły w terenie poniżej i na horyzoncie przed nim. Poza tym, gdy dotrze do lodowca, będzie musiał lecieć nisko, by odnaleźć cel. Jego umysł będzie zbyt zaprzątnięty, by orientować się według gwiazd, którymi mógłby się posługiwać idąc pieszo.

Chcąc naprawić błąd przesadził i statek skoczył w przeciwnym kierunku. Wystukał rozkaz „zawieszenie nieruchome” i komputer przejął pilotaż. Ponownie stojąc na słupie ognia Danzig przeznaczył chwile na oddech, uspokojenie nerwów, przeciwiczenie manewru w myślach. Zagryzając wargi spróbował znowu. Tym razem nie było tak źle. Migocąc ogniem z dysz statek, pomknął, chwiejąc się jak pijany, ponad powierzchnią księżyca.

Nawis lodowy był coraz bliżej. Zobaczył jego kruche piękno i pożałował, że musi wyciąć w nim. pasmo ruin. Ale jaką może mieć wartość każdy cud natury, jeśli nie ma przy nim świadomego umysłu, który może go podziwiać? Minał najniższy stok, który skrył się w kłębach pary.

Naprzód. Poza miejscem wrzenia, na lewo, na prawo, i na przedzie budowle Krainy Elfów waliły się w gruzy. Przeleciał nad palisadą. Teraz znajdował się zaledwie pięćdziesiąt metrów ponad powierzchnią, a obłoki pary pojawiały się wściekło blisko, zanim zniknęły w próżni. Wyjrzał przez iluminator i zatoczył łuk

skanerem, otrzymując na ekranie powiększony obraz okolicy, i szukając swego celu.

Wybuchł biały wulkan otaczając go całkowicie. Nagle leciał na ślepo. Kadłubem wstrząsały uderzenia wzbijanych w górę kamieni. Mróz okrył białą pojazd; zarówno ekran skanera, jak i iluminatory oślepiły. Danzig powinien był podnieść statek, ale zabrakło mu doświadczenia. Człowiek w niebezpieczeństwie raczej ucieka, niż podskakuje do góry. Danzig usiłował odskoczyć w bok. Bez pomocy wzroku spowodował koziołkowanie statku. Gdy zorientował się w błędzie, co trwało mniej niż sekundę, było już za późno. Stracił kontrolę nad sterami. Komputer mógłby po pewnym czasie uratować sytuację, ale lodowiec był zbyt blisko. Statek uderzył o grunt.

- Halo, Mark! - wołał Scobie. - Mark, czy mnie słyszysz? Gdzie jesteś, na litość boską?

Odpowiedziała mu cisza. Rzucił Broberg spojrzenie, które spoczywało na niej przez jakiś czas.

- Wszystko zdawało się w porządku - powiedział - aż usłyszeliśmy okrzyk, silny łoskot i potem już nic. Dawno już by do nas doleciał, a zamiast tego sam wpakował się w tarapaty. Mam nadzieję, że nie tragicznie.

- Co możemy zrobić? - spytała zupełnie niepotrzebnie. Musieli mówić, mówić cokolwiek, bowiem Garcilaso leżał przy nich, a jego głos szybko słabł.

- Jeśli nie dostaniemy nowych baterii w ciągu najbliższych czterdziestu czy pięćdziesięciu godzin, będzie to koniec naszej drogi. Statek musi być gdzieś niedaleko. Wychodzi na to, że sami będziemy się musieli stąd wydostać. Zaczekaj tu z Luisem, a ja spróbuję pogrzebać dookoła i znaleźć przyzwoitą drogę.

Scobie ruszył w dół. Broberg przykucnęła przy pilocie.

- ...sam na zawsze w ciemnościach... - usłyszała.

- Nie, Alvarlanie - objęła go. Najprawdopodobniej nie czuł tego, ale ona tak. - Alvarlanie, wysłuchaj mnie. Mówi do ciebie Ricia. Słyszę w myślach wołanie twej duszy. Pozwól mi pomóc ci, pozwól mi wyprowadzić cię z powrotem na światło.

- Uważaj - ostrzegł Scobie. - I tak grozi nam, że się znów sami zahipnotyzujemy.

- Ale może... może udałoby mi się dotrzeć do niego i... pocieszyć go...

Alvarlanie, Kendrickowi i mnie udało się uciec. On szuka dla nas drogi do domu. Ja szukam ciebie. Alvarlanie, oto moja dłoń: weź ją.

Na dnie krateru Scobie potrząsnął głową, mlasnął językiem i zdjął sprzęt z pleców. Lornetka pomoże mu zlokalizować najbardziej obiecujące miejsca. Przyrządy, poczynając od metalowego prętu do przenośnego geosonaru, dadzą mu dokładniejsze pojęcie o tym, jakie podłoże leży pod jak głęboką warstwą nie nadającego się do wspinaczki piasko-lodu. Bez wątplenia zasięg sond tego rodzaju był bardzo ograniczony. Scobie nie miał czasu na odrzucanie ton substancji, by móc wspiąć się wyżej i dalej próbować. Musiał po prostu uzyskać jakieś wstępne dane, postawić uzasadnioną hipotezę co do tego, która droga prowadząca w górę krateru okaże się możliwa do przebycia i ufać, że się nie pomylił.

Jak mógł najszczelniej, oddzielił swoją świadomość od Broberg i Garcilasa, i podjął pracę.

Godzinę później ignorując ból, oczyszczał pasmo na powierzchni warstwy skalnej. Zdawało mu się, że na przedzie leżała góra solidnej, twardej zamarzłej wody, ale wołał się upewnić.

- Jean! Colin! Słyszycie mnie?

Scobie wyprostował się i stanął sztywno. Jakby z bardzo daleka usłyszał głos Broberg:

- Jeśli nie mogę niczego dla ciebie uczynić, Alvarlanie, niechże się pomodłę za spokój twojej duszy.

- Mark! - wyrwało się z ust Scobiego. - Nic ci nie jest? Co się stało, do cholery?

- Taak, niewiele oberwałem - powiedział Danzig. - A statek też cały, choć chyba już nigdy więcej nie poleci. A co z tobą? Jak Luis?

- Stan się ciągle pogarsza. No - dobrze, mów, jak było.

Danzig zaczął opisywać wypadek.

- Pokoziolkowałem w nieznanym kierunku na nieznaną odległość. Nie mogło to być daleko, bo szybko wałnąłem o grunt. Najwyraźniej wryłem się w wielką, hm, zaspę, która osłabiła impet uderzenia, ale wytłumiła fale radiowe. Teraz jej już nie ma - wyparowała. Widzę dookoła pofalowaną białość i jakieś formacje w oddali... Nie jestem pewien, jakich uszkodzeń doznały podpory i dysze rufowe. Statek stoi pochylony pod kątem około czterdziestu pięciu stopni, prawdopodobnie na podłożu skalnym. Jednak jego tylna część nadal znajduje się wewnątrz mniej ulotnej substancji - woda i CO₂, jak myślę - która osiągnęła równowagę temperatur. Dysze są na pewno tym zatkane. Gdybym próbował włączyć odrzut, rozwalilibym cały interes.

Scobie skinął głową.

- Na pewno by tak było.

Głos Danziga załamał się.

- O mój Boże, co ja zrobiłem? Chciałem pomóc Luisowi, a naraziłem na śmierć ciebie i Jean.

Usta Scobiego zacisnęły się.

- Nie ma co płakać, to jeszcze nie nasz pogrzeb. Jasne, że to jakaś zła passa. Ale ani ty, ani ktokolwiek inny nie mógłby przewidzieć, że można dotknięciem spowodować pod sobą wybuch.

- Co to mogło być? Masz jakiś pomysł? Nic takiego się jeszcze nie zdarzyło w przypadku zderzenia z kometą. Bo wierzysz, że ten lodowiec jest szczątkami komety, prawda?

- Owszem, z tym, że uległy one modyfikacji w wyniku działania ciepła.

Uderzenie spowodowało wyzwolenie ciepła, wstrząs, zakłócenia. Molekuły się porozbijały. Przez moment musiał tu występować stan plazmowy. Mieszaniny, związki, klatraty, stopy - powstawały takie substancje, jak nigdzie indziej w wolnej przestrzeni. Wiele by się tu można nauczyć z chemii.

- Po to tu przyleciałem... No więc mijalem złożę jakiejś substancji czy kilku, które gwałtownie wysublimowały pod działaniem odrzutu. Kiedy ta szczególna para dotknęła kadłuba, natychmiast na nim zamarzała. Musiałem od środka odmrażać iluminatory - a przecież śnieg sam z nich odparował.

- Gdzie się znajdujesz w odniesieniu do nas?

- Mówiłem ci już: nie mam pojęcia. I nie wiem też, czy w ogóle będę to mógł ustalić. Uderzenie zniszczyło antenę kierunkową. Wyjdę na zewnątrz i rozejrzę się.

- Dobrze, zrób to - powiedział Scobie. - A ja się tymczasem wezmę za robotę. Kontynuował ją, dopóki straszne jęki i zawodzenia Jean nie ściągnęły go pędem z powrotem do skały.

Scobie odłączył baterię Gareilasa.

- To, co w niej zostało, może stanowić tę różnicę, dzięki której my przeżyjemy - powiedział. - Uważajmy to za podarunek. Dzięki, Luis.

Broberg wypuściła z rąk ciało pilota i uniosła się z kolan. Wyprostowała kończyny, które trzepotały w śmiertelnej walce, i złożyła mu ręce na piersiach. Nic nie mogła poradzić na opadniętą szczękę i oczy wpatrzone w niebo. Wyjmowanie go w tym miejscu ze skafandra jeszcze by pogorszyło jego wygląd. Nie mogła też zetrzeć łez z własnej twarzy. Próbowwała jedynie je powstrzymać.

- Żegnaj, Luis - wyszeptala.

Zwróciwszy się do Scobiego, powiedziała:

- Masz dla mnie jakieś zajęcie? Proszę cię o nie.

- Chodź - polecił jej. - Wyjaśnię ci, jak mam zamiar wydostać się na powierzchnię.

Byli w połowie drogi przez krater, gdy odezwał się Danzig. Nie dopuścił, by umieranie kolegi opóźniło jego wysiłki; niewiele też w tym czasie mówił. Raz, bardzo cicho, odmówił modlitwę za konających.

- Nic z tego - zaraportował niczym maszyna. - Zrobilem największe koło, jakie mogłem, nie chcąc stracić z oczu statku, ale zauważyłem jedynie dziwne, zamarłe kształty. Nie mogą być od was daleko, bo widziałem na tej żałośnie małej kulce wyraźnie odmienny układ gwiazd. Znajdujecie się prawdopodobnie w promieniu od dwudziestu do trzydziestu kilometrów ode mnie. Ale to kawał terenu.

- Słusznie - rzek! Scobie. - Możliwe, że nie zdołasz nas znaleźć w ciągu tego czasu, który nam pozostał. Wracaj do statku.

- Hej, chwileczkę - zaprotestował Danzig. - Mogę zataczać coraz większy łuk, znacząc drogę. Może się na was natknę.

- Bardziej się przydasz, jeśli wrócisz - rzekł mu Scobie. - Zakładając, że zdołamy się stąd wydostać, powinniśmy móc do ciebie dotrzeć, ale potrzebny będzie znak sygnalizacyjny. Przychodzi mi do głowy, by użyć w tym celu samego lodu. Niewielkie wyładowanie energii, jeśli będzie skupione, powinno wyzwolić wielką chmurę metanu czy czegoś równie lotnego... Rozprężając się, gaz powinien obniżyć temperaturę, ponownie ulec kondensacji wokół cząsteczek pyłu uniesionych ze sobą - będzie przecież parowało - i chmura Z pewnością uniesie się odpowiednio wysoko, nim znów wyparuje, abyśmy ją stąd dostrzegli.

- Kapuję! - Nuta ożywienia pojawiła się w głosie Danziga. - Zaraz się tym zajmę. Zrobię próby, wybiorę miejsce, gdzie uzyskam najbardziej spektakularne wyniki i... a co ty na to, bym zmajstrował bombę termito-wą? Nie, ona może być za gorąca. No, coś tam wymyślę.

- Informuj nas na bieżąco.

- Ale jeśli chodzi o mnie... to chyba nie będę miała czasu na pogawędkę - włączyła się Broberg.

- Nie, będziemy mieli pełne ręce roboty, ty i ja - zgodził się Scobie.
- Hm, jedną chwileczkę - odezwał się Danzig. - A co będzie, jeśli nie zdołacie się wydostać? Sugerowałeś, że taka możliwość istnieje.
- No to wtedy będzie czas na bardziej radykalne środki, obojętne na razie jakie - odparł Scobie.
- Szczerze mówiąc, w tej chwili myśli mam zbyt zaprzątnięte... Luisem i wybieraniem najlepszej drogi wyjścia... żeby myśleć o innych sprawach.
- Mhm, owszem, też myślę, że na razie mamy dość tych kłopotów, które są, żeby jeszcze starać się o nowe. Ale wiecie, coś wam powiem. Kiedy przygotuję już mój sygnalizator, zrobię tę linę, o której mówiłem. Może się okazać, że przyda się wam na pranie, kiedy tu przyjdziecie. - Danzig milczał przez kilka chwil, nim dokończył: - Bo przecież musicie przyjść, do cholery, prawda?

- Scobie wybrał punkt na północnej stronie krateru, gdzie zamierzał spróbować podejścia razem z Jean. Wystawały tam dwie półki skalne, jedna w pobliżu podłoża, druga zaś kilka metrów wyżej, co wskazywało, że skała sięga przynajmniej do tego miejsca. Za półkami znajdowały się rozmieszczone nieregularnie występy twardego lodu. Pomiędzy nimi i ponad najwyżej umieszczonym występem, znajdującym się niewiele powyżej połowy odległości do krawędzi krateru, widać było jedynie gładki, nie dający oparcia stopie stok pyłu kryształów. Kąt ich ułożenia dawał w rezultacie stromiznę, w wyniku czego owa powierzchnia była w dwójnasób zdradziecka. Pytanie, na które odpowiedź mogła dać jedynie próba, brzmiało: jak głęboko skrywała ona warstwy, po których mogli się wspinać, oraz czy podobne warstwy sięgały do samej góry.

Dotarłszy na miejsce Scobie dał znak do zatrzymania.

- Zaczekaj, Jean - powiedział. - Pójdę naprzód sam i zacznę kopać,
- A czemu nie razem? Ja też mam łopatkę.
- Ponieważ nie umiem przewidzieć, jak się zachowa tak wielki wał tego pseudopiasku. Może zareagować na zakłócenie równowagi gigantyczną lawiną.
- Jean podniosła głowę; na jej wymęczonej twarzy pojawił się bunt.
- Więc dlaczego nie mam pójść pierwsza? Czy sądzisz, że zawsze czekam biernie na przybycie Kendricka?

- Szczerze mówiąc - rzucił - wole ja to zrobić, bo żebro rwie mnie jak cholera, w wyniku czego tracę coraz bardziej siły. Gdyby miało się coś stać, lepiej będzie, jeśli to ty pośpieszysz mi na pomoc, a nie na odwrót.

Broberg pochyliła głowę.

- Och, przepraszam. Sama chyba jestem w nie najlepszej formie, jeśli dopuszczam, by fałszywa duma nam przeszkadzała. - Spojrzeniem powędrowała ku Saturnowi, wokół którego orbitował Chronos, jakby szukając przebywających tam męża i dzieci.

- Wybaczam ci. - Scobie podkurczył nogi i skoczył pięć metrów dzielących go od niższej półki. Następna była zbyt wysoko na podobny skok, tym bardziej że nie miał gdzie wziąć rozbiegu.

Pochyliwszy się zaszurał łopatką po dolnej części skrzącego się przed nim stoku i zagarnął sypki lód. Z góry posypały się kolejne ziarna, miliardy, zasypując to, co zdołał oczyścić. Pracował jak nawiedzony robot. Każda łopatką

nie ważyła prawie nic, ale ich liczba była nieprzeliczona. Nie zwałił na siebie całej ściany, czego w połowie się obawiał, w połowie chciał (jeśli przy tym zginął, zaoszczędziłoby mu to wiele trudu). Stopy opływał mu suchy strumień. W końcu jednak ukazały się dalsze partie podłoża skalnego.

Stojąc w dole Broberg nasłuchiwała jego oddechu. Był ciężki, nierzadko przerywany jękiem czy przekleństwem. W skafandrze kosmicznym, w surowym, bladym świetle Słońca przypominał rycerza, który mimo odniesionych ran stanął do walki z potworem.

- No, dobrze - zawołał w końcu. - Chyba wiem już, czego mam oczekiwać i jak powinniśmy postępować. Będiesz mi do tego potrzebna.

- Tak... o, tak, mój Kendricku.

Minęły godziny. Bardzo powoli Słońce wspinało się po niebie, po którym przetaczały się gwiazdy i gasł Saturn.

Prawie przez cały czas oboje kopali obok siebie. Co prawda wystarczało tylko wąskie przejście, ale jeśli od początku nie zrobiliby szerokiego, sypki lód z lewej i prawej strony natychmiast zsunąłby się w dół i zasypał przekop. Czasem budowa podłoża pozwalała na to, by kopała tylko jedna osoba i wtedy druga mogła odpocząć. Wkrótce to Scobie głównie korzystał z tej możliwości. Czasem oboje zaprzestawali pracy, by coś zjeść, wypić lub chwilę odpocząć, opierając się o stelaż ze sprzętem.

Skala ustąpiła miejsca zestalonej wodzie. Tam gdzie stok był bardzo stromy, Scobie i Broberg przekonywali się o tym natychmiast, bowiem podcinany piasko-lód spadał masą w dół. Po pierwszej takiej lawinie, która nieomal ich zepchnęła, Scobie zawsze najpierw wbijał w każdą nową warstwę swój młotek geologiczny. W razie jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa chwycił trzonek, a Broberg szybko obejmowała go w pasie. Wolnymi rękami ściskali saperki. Zakotwiczeni w ten sposób, ale zmuszeni do maksymalnego wysiłku stali tak, podczas gdy opływał ich biały potop podnosząc się to na wysokość kolan, to czasem piersi, próbując ich pogrzebać na wieki w swej niby-płynnej substancji. Później mieli już przed sobą nagi stok, zazwyczaj zbyt stromy, by podejść bez pomocy, więc musieli wycinać w nim stopnie.

Poza piasko-lodem ogarniało ich jeszcze coś, czemu nie śmieli się poddać: znużenie. Nawet najbardziej liberalny obserwator uznałby ich postępy za przerażająco powolne. Nie zużywali zbyt wiele energii na utrzymanie stałej temperatury wewnątrz skafandra, chyba że podczas odpoczynku, ale płuca domagały się zwiększonych ilości tlenu, co wzmagało tempo pracy uzdatniania-czy powietrza. Bateria Garcilasa, którą wzięli ze sobą, mogła jednej osobie dać kilka dodatkowych godzin życia, choć biorąc pod uwagę, że wyczerpana w zmaganiu z hipotermią ciała pilota nie wystarczy do czasu nadejścia pomocy z Chronosa. Nie wypowiedziana możliwość przewidywała korzystanie z baterii na zmianę. Będzie im wtedy paskudnie, mróz przeniknie do kości, ale przynajmniej razem opuszczą ten Wszechświat.

Toteż nic dziwnego, że ich myśli uciekały od bólu, zmartwienia, wyczerpania, stęchlizny, rozpaczy. Bez; tej ucieczki nie przebyliby nawet tyle, ile przebyli.

Odpoczywając przez kilka chwil, oparli się plecami o połyskującą błękitem półkę, na którą będą musieli się wspiąć, patrzyli na przeciwległy kraniec

krateru, gdzie odziane w skafander ciało Garcilasa płonęło niczym daleki stos żalobny, i dalej jeszcze, ku Saturnowi. Planeta świeciła migotliwie, bursztynowo, pokryta delikatnie oddzielającymi się pasmami, ukoronowana pierścieniami, które dzięki przecinającej je linii cienia świeciły tym jaśniej. Blask ten przyćmiewał większość pobliskich gwiazd, ale pozostałe, bardziej oddalone, układały się mnogością w pełnej chwale wokół srebrzystej dr którą snuła przed nimi galaktyka.

- Jakże właściwy to grobowiec dla Alvarlana - szept Ricia jakby śniąc.

- Zatem on zginął? -pyta Kendrick.

- Nie wiesz tego?

- Miałem głowę zaprzątniętą czym innym. Kiedy uwolniliśmy się z ruin i pozostawiłem cię, byś odzyskała siły, podczas gdy ja udałem się, by rozejrzeć po okolicy, natknąłem się na oddział wojowników. Uciekłem, ale z konieczności wracałem ku tobie przemyślnymi, skrytymi drogami. - Kendrick gładzi Ricię po złocistych włosach. - Poza tym, moja najdroższa, to zawsze ty, a nie ja, miałas dar słyszenia duchów.

- Mój dzielny ukochany... Tak, to dla mnie chwała, że zdołałam przywołać jego dusze z piekła. Szukał swego ciała, ale było ono stare i słabe, i nie mogło przetrwać tej wiedzy, którą obecnie posiadał. Alvarlan wszakże zmarł w pokoju, ale wcześniej jeszcze ostatnim czarem uczynił sobie grobowiec, z którego stropu gwiazdy będą świecić po wsze czasy.

- Niech odpoczywa w pokoju. Ale nam nie dane jest spocząć. Jeszcze nie. Przed nami daleka droga.

- O, tak. Jednak ruiny pozostały już za nami. Spójrz! Na całej łące w trawie błyszczą anemony. W górze śpiewa skowronek.

- Nie zawsze jest tu tak spokojnie. Przed nami może jeszcze być wiele przygód. Stawimy im jednak czoło z mężnym sercem.

Kendrick i Ricia podnoszą się, by ruszyć w dalszą drogę.

Ściśnięci na wąskiej półce Scobie i Broberg odrzucali piasko-lód przez całą godzinę, niewiele ją poszerzając, z góry bowiem sypało się tyle, ile zdołali zepchnąć na dół.

- Lepiej dajmy sobie spokój - zdecydował geolog. - Udało się nam tylko trochę spłaszczyć stok. Nie wiadomo, jak daleko w głąb idzie ta półka, nim pojawi się twarde podłoże. Może w ogóle nie ma takiego.

- Co więc zrobimy? - spytała Broberg tym samym znużonym tonem. Pokazał kciukiem.

- Zejdziemy na niższy poziom i spróbujemy w innym kierunku. Przedtem jednak bezwzględnie odpoczniemy.

Rozpostarli poduszki z gąbki i usiedli. Po chwili, w czasie której patrzyli tylko przed siebie, Broberg odezwała się.

- Idę ku potokowi - mówi Ricia. - Szemrze pod lukami zielonych, konarów. Między nimi przeciska się światło skrzące się na powierzchni wody. Przykłąkam i piję. Woda jest chłodna, czysta, słodka. Gdy unoszę wzrok, widzę postać młodej kobiety, nagiej, której pukle włosów mają barwę liści. To nimfa wodna. Uśmiecha się.

- Tak, ja też ją widzę - włącza się Kendrick. - Zbliżam się ostrożnie, by jej nie przestraszyć. Pyta nas o imiona i cel podróży. Wyjaśniamy, że zgubiliśmy drogę. Mówi nam, gdzie znaleźć wyrocznię, która może udzielić rady.

Wyruszają, by odnaleźć wyrocznię.

Ciało ludzkie nie może wiecznie odkładać snu na potem.

- Krzyknij na nas za godzinę, dobrze, Mark? - poprosił Scobie.

- Jasne - odparł Danzig. - Ale czy to wystarczy?

- Tylko na tyle możemy sobie pozwolić po tych wszystkich niepowodzeniach.

Przeszliśmy mniej niż jedną trzecią drogi.

- To, że do was nie mówiłem - powiedział powoli Danzig - to nie dlatego, że byłem bardzo zajęty pracą, chociaż byłem. Po prostu zdawało mi się, że sami macie dość na głowie i bez mojego wtrącania się. Jednakże... czy sądzicie, że mądrze robicie oddając się w ten sposób fantazjom?

Rumieniec wpelzł na policzki Broberg i spłynął ku jej piersiom.

- Słuchałeś, Mark?

- No... tak, oczywiście. Przecież mogło się wam coś nagle przydarzyć...

- Czemu? A gdyby nawet, to co byś zrobił? Gra to sprawa osobista.

- No tak, tak...

Ricia i Kendrick kochali się, gdy tylko mieli ku temu okazję. Nie padło przy tym wiele słów, ale były one często namiętne.

- Włączymy się, gdy będziemy ciebie potrzebować, tak jak w tym przypadku, przy budzeniu - ucięła Broberg. - A poza tym przerwiemy kontakt.

- Ale... Ja przecież nie chciałem

- Wiem o tym - westchnął Scobie. - Fajny z ciebie facet, a my z pewnością jesteśmy przewrażliwieni. Ale tak musi być. Zawołaj nas za godzinę, tak jak powiedziałem.

W głębi groty Węży ca kołysze się na tronie w takt słów proroczej opowieści. Z tego, co Ricia i Kendrick mogą zrozumieć, to nakazuje im udać się na zachód, Szlakiem Jelenia, aż napotkają jednookiego człowieka o siwej brodzie, który wskaże im dalszy kierunek; muszą jednak być ostrożni w jego obecności, łatwo bowiem go rozgniewać. Usłuchawszy słów wyroczni, oboje oddalają się. U wyjścia dają ofiarę, którą przynieśli. Ponieważ mają ze sobą niewiele poza odzieniem i orężem, księżniczka składa świątyni w ofierze swe złociste pukle. Rycerz twierdzi, że nawet z krótkimi włosami Ricia jest wciąż piękna.

- Hej, hopla! Łatwo nam poszło te dwadzieścia metrów - powiedział Scobie, jednak głosem otępiałym ze znużenia.

Początek drogi przez krainę Narce jest czystą rozkoszą.

Jego późniejsze przekleństwo nie było ani trochę bardziej żywsze. - Chyba kolejny ślepy zaulek.

Starzec w błękitnej opończy i szerokim kapeluszu zaiste rozgniewał się, gdy Ricia odmówiła mu swych łask, a włócznia Kendricka powstrzymała go przed dalszymi próbami. Udał, że szuka zgody i wskazał im dalszą drogę. Lecz na jej krańcu wędrowcy napotykają trolle. Udaje im się umknąć i wycofują się.

- Mózg mi pływa w bagnie, we mgle - jęknął Scobie. - A i złamane żebro raczej przeszkadza. Jeśli się jeszcze trochę nie prześpię, nadal będę wybierał fałszywą drogę, aż czas się nam skończy.

- Ależ oczywiście, Colin - odezwała się Broberg. - Będę czuwać i obudzę cię za godzinę.

- Co takiego? - spytał zdziwiony mimo znużenia. - A czemu ty też się nie prześpisz, Mark nas obudzi, tak jak poprzednio?

Skrzywiła się.

- Nie warto go niepokoić. Jestem zmęczona, owszem, ale nie senna. Brakło mi i przytomności, i siły, by się spierać.

- Dobrze - powiedział, rozciągnął na lodzie materac izolujący i stoczył się w nieświadomość.

Broberg ułożyła się obok niego. Byli w połowie drogi do krawędzi, ale trwało to z przerwami więcej niż dwadzieścia godzin, a szło im coraz trudniej i było bardziej niebezpieczne, choćby dlatego, że mieli coraz mniej sił i przytomności umysłu. Jeśli w ogóle dotrą do szczytu i dostrzegą sygnał Danziga, zostanie im jeszcze parę godzin marszu na obolałych nogach, nim znajdą się w schronieniu.

Saturn, Słońce, gwiazdy prześwitywały przez witrył. Broberg uśmiechnęła się, patrząc na twarz Scobiego. Ani trochę w nim z urody greckiego boga, a pot, brud, zarost, liczne oznaki wyczerpania jeszcze mniej go przypominały, ale... szczerze mówiąc ona też zbyt nie nadawała na konkurs piękności.

Księżniczka Ricia siedzi u boku swego rycerza, który zapadł w sen w chacie karła, i przebiera palcami po strunach harfy, której jej użyczył ów karzeł, nim udał się do pracy w kopalni. Ricia śpiewa kołysankę, by osłodzić sen Kendrickia. Gdy śpiew dobiega końca, dotyka ustami jego ust, po czym zapada w taki sam łagodny sen.

Scobie budził się powoli.

- Ricia, kochanie - szepce Kendrick i szuka jej dotykami. Zbudzi ją pocałunkami...

Uniósł się niezgrabnie.

- O, do diabła!

Leżała bez ruchu. Słyszał przez radio jej oddech, nim uderzenia jego tętna oddech ten stłumiły. Słońce świeciło znacznie dalej; widać było wyraźnie, że się przesunęło, zaś sierp Saturna znacznie schudł, do tego stopnia, że na końcach pojawiły się ostre rogi. Wytężył oczy, by spojrzeć na zegarek na lewym przegubie.

- Dziesięć godzin! - zakrzuszył się.

Ukląkł i potrząsnął kobietą.

- Zbudź się, na litość boską!

Rzęsy jej zatrzepotały. Gdy ujrzała na jego twarzy przerażenie, natychmiast opadła z niej senność.

- Och, nie - odezwała się. - Proszę, nie.

Scobie z trudem wyprostował się i połączył ze statkiem.

- Mark, słyszysz mnie?

- Colin! - wykrzyknął Danzig. - Dzięki Bogu! Wychodziłem z siebie ze zdenerwowania.

- Będziesz się dalej denerwował, kochany. Właśnie obudziliśmy się z dziesięciogodzinnego snu.

- Co takiego? Ile przedtem pokonaliście?

- Weszliśmy gdzieś na czterdzieści metrów. Droga przed nami wygląda na trudniejszą niż ta, którą dotąd przebyliśmy. Boję się, że nic z tego nie będzie.

- Nie mów tego, Colin - rzekł błagalnie Danzig.

- To moja wina - stwierdziła Broberg.

Stała sztywno, z zaciśniętymi pięściami i nieruchomą twarzą. Głos miała spokojny.

- On był zmęczony, musiał się przespać. Miałam go obudzić, ale sama zasnąłam.

- Nie twoja wina, Jean... - zaczął Scobie.

- Tak, moja - przerwała mu. - Może uda mi się to naprawić. Weź moją baterię. W ten sposób nie będę mogła ci pomóc kopać, ale może przeżyjesz i dotrzesz do statku.

Schwycił ją za rękę. Pięści nie rozwarły się.

- Jeśli myślisz, że ja... że ja mógłbym to zrobić...

- Jeśli tego nie zrobisz, to koniec z nami obojgiem - odrzekła nieustępliwie. - Wolę odejść z czystym sumieniem.

- A co z moim sumieniem? - wykrzyknął. Opanowując się zwilżył wargi i mówił dalej szybko: - Poza tym nie można się obarczać winą. Senność cię zwyciężyła. Gdybym się nad tym dobrze zastanowił, wiedziałbym, że tak się skończy i połączyłbym się z Markiem. A to, że tobie to też nie przyszło do głowy, dowodzi, jak bardzo i tobie brakowało snu. I... na ciebie czeka Tom i dzieci. Weź moją baterię. - Zamilkł na chwilę. - I błogosławieństwo na drogę.

- Czy Ricia mogłaby porzucić swego rycerza?

- Zaraz, chwileczkę, posłuchajcie - zawołał Danzig. - Słuchajcie, to straszne, ale... a, cholera, wybaczcie, ale muszę wam przypomnieć, że takie teatralne gesty tylko przeszkadzają w działaniu. Z waszego opisu wnoszę, że żadne z was samotnie nie będzie w stanie iść naprzód. Razem może się wam jeszcze udać. Przynajmniej jesteście wypoczęci - mięśnie wam dokuczają, to jasne, ale w głowach wam się rozjaśniło. Wspinaczka może się okazać łatwiejsza, niż myślicie. Zastanówcie się nad tym!

Scobie i Broberg przyglądali się sobie nawzajem przez całą minutę. Jej ciało jakby odtajało, a ciepło przeszło na niego. W końcu uśmiechnęli się i objęli.

- Taak, słusznie - burknął Scobie. - Ruszamy, ale najpierw coś przegryziemy. Jestem po prostu, najzwyczajniej w świecie głodny. A ty?

Broberg skinęła głową.

- To rozumiem - rzekł Danzig tonem zachęty. - Hm, czy mogę jeszcze coś zaproponować? Ja jestem tylko widz, co stawia mnie w cholernej sytuacji, ale inarn przez to widok ogólny. Porzućcie tę waszą grę.

Scobie i Broberg zeszywnieli.

- To ona jest prawdziwym winowajcą - ciągnął błagalnie Danzig. - Samo zmęczenie nie stępiłoby w was bystrości oceny sytuacji. Nigdy byście mnie nie

wyłączyli i... Ale zmęczenie, wstrząs i żal sprawiły, żeście dopuścili, by ta przekłeta gra nad wami zapanowała. Nie byliście sobą, gdy zasnęliście: byliście tymi-postaciami ze świata marzeń. One nie miały powodu, dla którego nie wolno było im zasnąć! j Broberg gwałtownie potrząsnęła głową.

- Mark - powiedział Scobie - masz słuszość mówiąc, że jesteś tylko widzem. To znaczy, że nie rozumiesz pewnych rzeczy. Po co więc masz się dręczyć słuchaniem nas, godzina za godziną? Będziemy się oczywiście włączali co jakiś czas. Trzymaj się. - Przerwał kontakt radiowy.

- On nie ma racji - upierała się Broberg.

Scobie wzruszył ramionami.

- Ma czy nie, co za różnica? Nie zaśniemy po raz drugi w tym czasie, jaki nam pozostał. Gra wcale nam nie przeszkadzała podczas drogi. Właściwie to nawet pomagała, pozwalając zapomnieć o ponurej sytuacji.

- To prawda. Śniadajmy więc żywo i ruszajmy w dalszą drogę. Droga była coraz trudniejsza.

- Zaiste Biała Wiedźma rzuciła urok na ten trakt - mówi Ricia.

- Nie ulękniemy się - przysięga Kendrick.

- Nie, nigdy, póki idziemy ramie w ramie, ja i ty, o najszlachetniejszy z mężów.

Spadający z góry piasko-lód ogarnął ich i odepchnął o kilkanaście metrów. Zatrzymali się na wystającym kamieniu. Kiedy nawała minęła ich, podnieśli swe poobijane ciała i powlekli się naprzód w poszukiwaniu lepszego podejścia. Miejsce, gdzie pozostał młotek geologa, było teraz niedostępne.

- Co strzaskalo most? - pyta Ricia.

- Olbrzym - odpowiada Kendrick. - Widziałem go, wpadając do rzekł. Rzucił się na mnie i starliśmy się na płyciźnie, aż zmusilem go do ucieczki. Uniósł ze sobą mój miecz wbity w jego udo.

- Masz swoją włócznię, wykuta przez Waylanda - mówi Ricia - i zawsze masz moje serce.

Zatrzymali się na ostatnim odgarniętym kawałku skały. Okazało się, że nie jest to półka, ale iglica z lodu wodnego. Dookoła rozciągała się płaszczyna z piasko-lodu, znowu spokojna. Przed nimi pozostało trzydzieści metrów stoku, a potem krawędź i gwiazdy. Ale równie dobrze mogło to być trzydzieści lat świetlnych. Ktokolwiek spróbowałby przeżyć tę odległość, zapadłby się na nieznaną głębokość.

Nie było sensu schodzić w dół odsłoniętą stroną lodowej iglicy. Broberg przywierała do niej przez godzinę, wykuwając nożem stopnie, po których się następnie wspięli. Stan Scobiego nie pozwalał pomóc jej w pracy. Jeśli zdecydują się na powrót, mogą łatwo ześliznąć się, spaść i dać się pochłonąć przez piasko-lód. Jeśli zaś nawet tego unikną, nigdy nie znajdą nowej drogi: w bateriach pozostało im energii zaledwie na dwie godziny. Usiłując przeć do przodu i jednocześnie wymieniać między sobą ogniwo Garcilasa, daliby tylko klasyczny przykład bezsensownego działania.

Usiedli więc, z nogami wiszącymi nad otchłanią, i trzymali się za ręce patrząc na Saturna i na siebie nawzajem.

- Nie sądzę, by orki zdołały przebić stalową bramę tej wieży - mówi Kendrick - ale zechcą wziąć nas głodem.

- Nigdy dotąd nie porzuciłaś nadziei, mój rycerzu - odpowiada Ricia i całuje go w skroń. - Rozejrzyjmy się może? Te ściany są niewypowiedzianie stare. Któż wie, jakie mogą w sobie kryć czary? Może dwa płaszcze z piór feniksa, które poniosą nas, śmiejących się, do domu...

- Lękam się, że nie, moja ukochana. Nasz czar spoczął na nas samych. - Kendrick dotyka włóczni, która błyszczy oparta o mur. - Smutny i szary będzie ten świat bez ciebie. Możemy jedynie z godnością przyjąć nasz los.

- I z radością, skoro jesteśmy razem.

Na ustach Ricii pojawia się psotny uśmiezek: - Widziałam łożę w jednej z komnat. Skorzystamy z niego?

Kendrick marszczy czoło.

- Winniśmy raczej uspokoić nasze myśli i dusze.

Ricia ciągnie go za łokieć.

- Później, tak. A poza tym, kto wie? Może strzepując pył z koca zobaczymy, że jest to płaszcz-niewidek, dzięki któremu przedostaniemy się przez linie wroga?

- To tylko marzenie senne.

Strach pojawia się w jej oczach.

- I cóż, jeśli tak jest?

Jej świat chwieje się w posadach.

- Mogę w marzeniach nawet nas uwolnić, jeśli mi pomożesz.

Pięść Scobiego uderzyła w lód.

- Nie! - wycharczał. - Umrę w tym świecie, który istnieje.

Ricia odsuwa się od niego. Kendrick widzi, jak opanowuje ją groza.

- Tyś szalony, najdroższy - szepce.

Obrócił się i schwycił ją za ramiona.

- Nie chcesz pamiętać o Tornie i twoich chłopcach?

- O kim?

Kendrick opada z sił. - Nie wiem. Ja też zapomniałem.

Opiera się na nim, tu, na wichrowym wzgórzu. W górze kołuje jastrząb.

- To z pewnością skutek złego czaru. Och, moje serce, moje życie, odrzuć go od siebie! Daj mi odnaleźć sposób ocalenia nas. - Błagalne słowa brzmią niepewnie; pobrzmiwa w nich trwoga.

Kendrick prostuje się. Kładzie dłoń na wióznicy W ay landa i dzięki temu wstępują weń jakby nowe siły płynące z oręża.

- Zakłęcie to zaiste - odpowiada. Głos jego nabiera mocy. - Nie pozostanę w jego mroku ani nie pozwolę, by ciebie oślepił i ogłuszał, moja pani. - Spogląda jej w oczy, nie pozwalając odwrócić wzroku. - Jest tylko jedna droga do naszej wolności. Droga ta prowadzi przez wrota śmierci.

Czeka, milcząca i drżąca.

- Cokolwiek byśmy zrobili, musimy zginąć, Ricia. Idźmy odtąd dalej jako my sami.

- Ja... nie... Ja nie chcę... Ja...

- Widzisz oto przed sobą narzędzie śmierci. Ostre ono, a jam silny, nie poczujesz bólu.

Odsłania pierś.

- Więc szybko uderzaj, Kendricku, nim zginę!

Kendrick uderza.

- Kocham cię – mówi.

Ricia pada u jego stóp.

- Idę za tobą, najdroższa - mówi, wyciąga ostrze, opiera drzewce o skałę, napiera na nie i pada obok niej.

- Teraz jesteśmy wolni.

- To był... koszmar. - Słowa Broberg były ledwie słyszalne. Głos Scobiego drżał.

- Ale moim zdaniem potrzebny nam obojgu. Patrzył wprost przed siebie, pozwalając, by światło Saturna go oślepiało. - Inaczej pozostałibyśmy... szaleni? Może i nie, z lekarskiego punktu widzenia. Ale też i nie w rzeczywistości.

- Byłoby łatwiej - wymamrotała. - Nie wiedzielibyśmy, że umieramy.

- A wolałabyś to?

Broberg zadygotała. Ociężałość na jej twarz/y ustąpiła temu samemu napięciu, które wyrażały jego rysy.

- Och, nie - odezwała się bardzo cicho, ale całkowicie świadomie. Nie, miałeś oczywiście rację. Dziękuję ci za twą odwagę.

- Ty zawsze miałeś jej tyle, co inni, Jean. Po prostu masz więcej od innych wyobraźni. - Scobie zbył to gestem dłoni. - No, dobrze, trzeba połączyć się z biednym Markiem i poinformować go o wszystkim. Ale najpierw... - Jego słowa straciły rytm, który starał się utrzymać. - Najpierw...

Uścisnęła go przez rękawice.

- Co takiego, Colin?

- Musimy coś postanowić w sprawie trzeciej baterii Luisa - wydusił z siebie, nadal patrząc w stronę wielkiej planety w koronie pierścieni. - Decyzja właściwie należy do ciebie, choć możemy podyskutować, jeśli chcesz. Ja nie mam zamiaru postąpić jak lobuz za cenę tych dodatkowych paru godzin. Nie chcę też korzystać z baterii na zmianę; w ten sposób oboje będziemy paskudnie umierać. Ale ty jednak może z niej skorzystaj.

- I palem będę siedzieć obok twego zmarzniętego ciała? - odparła. - Nie. Nawet nie czułabym ciepła, w każdym razie nie w kościach...

Obróciła się ku niemu tak gwałtownie, że niemal spadła z iglicy. Podtrzymał ją.

- Ciepło! - krzyknęła tak ostro, jak krzyczy kołujący jastrząb. - Colin, zawieziemy jednak nasze kości do domu!

- Właściwie to wspiałem się na kadłub - rzekł Danzig. - Tyle mi wystarczy, by dojrzeć wszystko ponad tymi grzbietami i turniami. Mogę widzieć cały horyzont.

- Dobrze - mruknął Scobie. - Przygotuj się, byś mógł szybko zobaczyć cały horyzont. W grę wchodzi wiele czynników, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Nasz sygnał nie będzie ani w części tak silny, jak to, co ty

przygotowałeś. Może okazać się nikły i krótkotrwały. I, oczywiście, może też unieść się zbyt nisko, żebyś mógł go dojrzeć z tej odległości. - Odchrząknął. - W tym przypadku to koniec. Ale próbowaliśmy do końca, co samo w sobie jest sukcesem.

Zważył w rękę baterię, podarunek Garcilasa. Jej styki połączył kawałek grubego drutu pozbawionego izolacji. Przy wyłączonym regulatorze bateria pompowała maksymalną moc przez zwierający ją drut, który już się żarzył.

- Na pewno chcesz sam to zrobić, Colin? - spytała Broberg. - Twoje żebro...
Uśmiechnął się krzywo.

- Ale mimo to natura lepiej mnie wyposażyła do rzucania - odrzekł. - Pozwól mi na lę odrobinę męskiej próżności; pomysł wyszedł od ciebie.

- Powinna była od początku na to wpaść - powiedziała. - I chyba by tak było, gdyby nie oszłomiła nas ta fantazja.

- Mhm, czasem najprostsze rzeczy przychodzą najtrudniej. Poza tym musieliśmy dotrzeć na tę wysokość, bo inaczej nic by z tego nie było, a gra nam w tym ogromnie pomogła... Jesteś gotów, Mark? Heeej hop!

Scobie cisnął baterię niczym piłkę do baseballu, mocno i daleko w słabym polu grawitacyjnym lapetusa. Obracając się, przymocowany do niej rozżarzony drut zakreślał w polu widzenia czarodziejskie symbole. Bateria opadła gdzieś poza krawędzią, na tylnym skraju lodowca.

Zamarznięte gazy wyparowały, uniosły się w górę, na moment ponownie skroplily się i uleciały bezpowrotnie. Na tle gwiazd powstał biały gejzer.

- Widzę was! - wrzasnął Danzig. - Widzę wasz sygnał, wiem, dokąd iść. Już pędzę! Z liną, dodatkowymi bateriami i wszystkim!

Scobie osunął się na lód i chwycił za lewy bok. Broberg uklękła i podtrzymała go, jak gdyby którekolwiek z nich mogło uleczyć bolesne miejsce. Ale to nie miało większego znaczenia. Długo już nie będzie bolało.

- Jak wysoko unosi się ten strumień, waszym zdaniem? - spytał już spokojniej Danzig.

- Ze sto metrów - odparła przyjrzawszy się Broberg.

- A, cholera, w tych rękawicach niewygodnie naciskać klawisze kalkulatora... Sądząc z tego, jaką część strumienia widzę, znajduję się w odległości dziesięciu do piętnastu kilometrów. Dajcie mi godzinę lub odrobinę więcej na dotarcie do was i odszukanie. Dobrze?

Broberg sprawdziła wskaźniki.

- W porządku, z minimalnym zapasem. Przykręcimy termostaty i będziemy siedzieć bardzo spokojnie, by zmniejszyć pobór tlenu. Zmarzniemy, ale przeżyjemy.

- Mogę tam dotrzeć prędzej - odrzekł Danzig. - To, co podałem, to najgorsza możliwość. No dobrze, pędzę. Nie będziemy rozmawiać, dopóki się nie spotkamy. Nie lubię ryzykować, ale potrzebny mi będzie oddech na szybki bieg.

Oczekujący usłyszeli jego cichy oddech i przyspieszone kroki. Gejzer przestał bić.

Siedzieli obejmując się nawzajem w pasie i przyglądali się otaczającej ich wspaniałości. Po chwili mężczyzna odezwał się:

- Sądzę, że to chyba koniec naszych gier. Dla wszystkich.

- Z pewnością zaś winny być poddane ścisłej kontroli - odparła kobieta. -
Wątpię jednak, czy porzucą je całkowicie... tutaj.

- Jeśli będą musieli, zrobią to.

- Tak. Myśmy musieli, prawda?

Obrócili się twarzami do siebie pod tym niebem pełnym gwiazd w królestwie Saturna. Nic nie przysłało światła słonecznego, które ukazywało ich sobie nawzajem: ją, żonę innego człowieka, w średnim wieku, i jego, zwykłego mężczyznę, tyle że samotnego. Oni już nigdy nie będą grać. Nie mogą.

W jej uśmiechu pojawiła się zakłopotana sympatia.

- Drogi przyjacielu... – zaczęła.

Powstrzymał ją uniesioną dłonią.

- Lepiej nie rozmawiajmy, o ile to nie jest absolutnie konieczne - rzekł. -
Zaoszczędzimy trochę tlenu i będzie nam trochę cieplej. Może spróbujemy zasnąć?

Oczy jej rozszerzyły się i pociemniały.

- Nie mam odwagi - wyznała. - Musi minąć jeszcze wiele czasu. Na razie mogę pomarzyć.